

# EDMONDO DE AMICIS

SERCE

Edmondo de Amicis

**Serce**

«Public Domain»

## **de Amicis E.**

Serce / E. de Amicis — «Public Domain»,

Jest pierwszy dzień nauki i Henryk, trzecioklasista z Turynu niechętnie wraca do szkoły. Notuje to w swoim pamiętniku. W barwny sposób opisuje tam kolegów, rodziców, szkołę, wrażenia, cały swój świat. Przepisuje też wyczekiwane przez uczniów z niecierpliwością tzw. opowiadania miesięczne. Bohaterami tych, rozdawanych przez nauczyciela, historyjek są chłopcy w ich wieku i ich niezwykle wyczyny. Dzieci poznają między innymi losy małego dobosza z Sardynii, Julka, pisarczyka z Florencji i Marka, chłopca, który w poszukiwaniu mamy dotarł aż do Argentyny. Czy perypetie szkolne małego chłopca w XIX wieku są podobne do losów dzisiejszych trzecioklasistów? Przekonajcie się sami. Jedno jest pewne, choć Serce powstało w 1886, do dzisiaj potrafi wzruszyć. W Polsce Serce było wydawane także we fragmentach. Najlepiej znanym jest opowiadanie Od Apeninów do Andów. Powieść w całości przetłumaczyła Maria Konopnicka.

© de Amicis E.

© Public Domain

## Содержание

Październik	6
Pierwszy dzień szkoły	6
Nasz nauczyciel	8
Wypadek	9
Mały Kalabryjczyk <sup>13</sup>	10
Moi koledzy	11
Szlachetny postępek	12
Moja nauczycielka z pierwszej wyższej	13
Na poddaszu	14
Szkoła	15
Mały patriota z Padwy	16
Listopad	18
Kominiarczyk	18
Dzień Zaduszny	20
Mój przyjaciel Garrone	21
Węglarz i pan	22
Nauczycielka mojego braciszka	23
Moja matka	24
Mój kolega Coretti	25
Nasz dyrektor	27
Obrońca garbuska	29
Prymus naszej klasy	30
Mała wideta <sup>51</sup> lombardzka	31
Ubodzy	34
Grudzień	35
Handlarz	35
Próżność	36
Pierwszy śnieg	37
Mularczyk	38
Śnieżna kula	39
Nauczycielki	41
W domu zranionego	42
Mały pisarczyk z Florencji	43
Siła woli	47
Wdzięczność	48
Styczeń	49
Zastępca	49
Księgozbiór Stardiego	51
Synek kowala	52
Miłe odwiedziny	53
Pogrzeb Wiktora Emanuela	54
Конец ознакомительного фрагмента.	55

# Edmondo de Amicis

## Serce. Powieść dla chłopców

Książka ta, przeznaczona szczególnie dla chłopców uczęszczających do szkół elementarnych<sup>1</sup> pomiędzy dziewiątym rokiem życia a trzynastym, powinna by właściwie nosić taki tytuł: „Dzieje roku szkolnego, spisane przez ucznia trzeciej klasy szkoły municypalnej<sup>2</sup> we Włoszech”. Mówiąc wszakże, że książka napisana została przez ucznia klasy trzeciej, nie chcę utrzymywać, iż utworzył on ją tak, jak wydrukowana została. Uczeń notował sobie odręcznie i jak umiał to, co widział, co czuł, co myślał w szkole i poza szkołą, a ojciec jego, przejrząwszy w końcu roku notatki owe, spisał podług nich te karty, starając się nie zmienić w niczym nie tylko myśli swego syna, ale owszem, zachować, o ile można, i słowa jego nawet.

W cztery lata później, i będąc już w gimnazjum, syn odczytał rękopis i dodał do niego to i owo, w świeżej mając pamięci ludzi i zdarzenia. A teraz czytajcie, chłopcy, tę książkę. Mam nadzieję, że zajmie was ona i ku dobremu pobudzi.

---

<sup>1</sup> *szkoła elementarna* – dziś: szkoła powszechna. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *municypalny* – tu: miejski. [przypis edytorski]

## Październik

### Pierwszy dzień szkoły

17. poniedziałek

Dzisiaj pierwszy dzień szkoły.

Jak sen przeleciały te trzy miesiące wakacji na wsi!

Mama poprowadziła mnie zaraz rano do Sekcji Baretty<sup>3</sup>, żeby mnie zapisać do trzeciej elementarnej. Szedłem dosyć niechętnie i myślałem o wsi. A ulice aż się roiły od chłopców. Obie księgarnie po drodze pełne były ojców i matek kupujących tornistry, papier, książki, kajety<sup>4</sup>, a przed szkołą taki był ścisk, że i pedel<sup>5</sup>, i strażnik miejski musieli pilnować miejsca, żeby się ludzie nie podusili. Wtem we drzwiach ktoś mnie trącił w ramię. Był to mój pierwszy nauczyciel z drugiej wyższego oddziału, zawsze wesół, śmiejący, ze swoją rudą, nastroszoną czupryną.

– No, Henryku! – rzekł. – Rozłączamy się tedy na zawsze!

Wiedziałem dobrze, że się rozłączymy, a przecież słowa te były mi bardzo przykre.

Weszliśmy z trudem. Panie, panowie, kobiety z ludu, robotnicy, służący, zakonnice – wszyscy prowadzą chłopców jedną ręką, a w drugiej trzymają książeczki z promocjami, wypełniając sienie, schody takim gwarem, że to zupełnie jakby się do teatru szło.

Ucieszyłem się zobaczywszy znowu tę wielką salę parterową z sześcioma drzwiami wiodącymi do sześciu klas, którą przebiegałem codziennie prawie przez trzy lata z rzędu. I tu był ścisk. Jedne nauczycielki wchodziły, drugie wychodziły.

Moja dawna nauczycielka z wyższego oddziału pierwszej skinęła mi głową stając we drzwiach swej klasy i rzekła:

– Idziesz więc, Henryku, na wyższe piętro w tym roku. Nie zobaczę cię już przebiegającego tutaj. – I smutnie spojrzała na mnie.

Wtem zobaczyłem dyrektora. Otoczony był ze wszystkich stron tłumem zafrasowanych<sup>6</sup> kobiet, dla których synów zabrakło już miejsca; a broda jego wydała mi się bardziej szpakowata niż zeszłego roku. Widziałem też niemało dawnych kolegów, którzy przez wakacje porośli, pogrubili jakoś.

Na dole, gdzie się już odbywały egzaminy wstępne, była cała czereda małych bębnow<sup>7</sup>, które nie chciały do klasy iść, kłóciły się i niektóre uciekały z ławek, zaś inne widząc, że już rodzice odchodzą, zaczynały głośno płakać, krzyczeć, tak że się matki musiały wracać, żeby je uspokoić albo zabrać z sobą, a nauczycielki były w desperacji.

Mój mały braciszek dostał się do klasy panny Delcati, a ja poszedłem na pierwsze piętro do oddziału nauczyciela Perboni.

O dziesiątej byliśmy już wszyscy w klasie. Pięćdziesięciu czterech chłopaków, jak obszył. Ale wśród nich znalazło się ledwo piętnastu czy szesnastu dawnych moich kolegów z drugiej; pomiędzy nimi Derossi, ten, który zawsze był prymusem.

Taka mała, taka smutna wydała mi się szkoła, kiedy pomyślałem o łąkach, o lasach, o górach, w których przepędziłem<sup>8</sup> lato! A i o nauczycielu z drugiej klasy też sobie myślałem; taki był zawsze

---

<sup>3</sup> *Sekcja Baretty* – nazwa szkoły. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *kajet* (daw., z fr.) – zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *pedel* (daw.) – woźny. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *zafrasowany* (daw.) – zmartwiony. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *bęben* (daw., pot.) – małe dziecko. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *przepędzić* – tu: spędzić. [przypis edytorski]

dobry, tak się śmiał z nami, taki nieduży był, że się zdawał naszym towarzyszem, i bardzo mi było żal, że już nie zobaczę jego rudej, zjeżonej czupryny. Nasz terażniejszy nauczyciel jest wysoki, nie nosi brody, ale ma za to długie, siwe włosy i prostą zmarszczkę na czole. Ma głos gruby i tak bystro patrzy, jakby nas wszystkich na wylot chciał przejrzeć. Nigdy się też nie śmieje.

Tak tedy powiedziałem sobie: Oto pierwszy dzień szkoły. Jeszcze dziewięć miesięcy. Ile pracy! Ile egzaminów miesięcznych! Ile trudów!

Tak się złożyło, że przy wyjściu spotkałem matkę i pobiegłem ucałować jej rękę. Rzekła mi: – Odwagi, Henryku! Będziemy się razem uczyli. – Więc wróciłem wesół do domu. Ale nie mam już mego dawnego nauczyciela, co się tak mile uśmiechał, a szkoła nie wydaje mi się tak piękną jak pierwej<sup>9</sup>.

---

<sup>9</sup> *pierwej* (daw.) – wcześniej. [przypis edytorski]

## Nasz nauczyciel

18. wtorek

Chociaż nie mogę powiedzieć, bo i nowy nauczyciel podobał mi się po dzisiejszym ranku. Podczas wejścia, kiedy już siedział na swoim miejscu, zatrzymywali się przed drzwiami klasy dawni jego uczniowie z ubiegłego roku, aby go pozdrowić. Zatrzymywali się przechodząc i pozdrawiali go:

– Dzień dobry, panie nauczycielu! Dzień dobry, panie Perboni!

Niektórzy wchodzili, podawali mu rękę i schylali głowy. Znać było, że go lubią i chcieliby do niego powrócić.

Odpowiadał: „Dzień dobry!” – ścisnął wyciągające się ku niemu ręce, ale na nikogo nie patrzył i wszystkie powitania przyjmował jakby obojętnie, z tą swoją prostopadłą zmarszczką na czole, obrócony do okna i patrzący na dach domu naprzeciwko. Zamiast się cieszyć pozdrowieniami tymi, znać było, że cierpi i że mu jest smutno.

Kiedy przeszli, obrócił się do klasy i patrzył na nas, przejmując wzrokiem jednego po drugim i jak gdyby oczekując czegoś. Wreszcie zaczął dyktować chodząc pomiędzy ławkami, a zobaczywszy chłopca, który miał twarz całą czerwoną od jakichś wyrzutów, przestał dyktować, wziął twarz jego w obie ręce i położył mu rękę na czole, żeby zobaczyć, czy ma głowę gorącą.

Tymczasem jeden z uczniów zaczął się śmiać w ławce za nim, robić miny i błaznować. Nauczyciel odwrócił się nagle. Chłopak siadł natychmiast, spuścił głowę i czekał na karę. Ale nauczyciel położył mu rękę na głowie i rzekł: – Nie czyń tego nadal. – Ani słowa więcej, po czym powrócił do stolika swego i kończył dyktować.

Skończywszy dyktować patrzył przez chwilę w milczeniu, a potem tak przemówił z wolna swoim grubym, ale dobrym głosem:

– Słuchajcie. Cały rok szkolny mamy spędzić z sobą. Starajmy się spędzić go w pokoju. Uczcie się i bądźcie dobrzy. Nie mam rodziny. Moją rodziną jesteście wy. Jeszcze zeszłego roku miałem matkę. Umarła mi. Zostałem sam. Was tylko mam teraz na świecie. Wy jesteście moją troską i moją pociechą. Wy będziecie dziećmi moimi. Dobra waszego chcę i wy chcecie, żeby mi było z wami dobrze. Bolałoby mnie, gdybym któregoś z was ukarać musiał. Pokażcie, że macie serce. Szkoła nasza będzie mi domem rodzinnym, a wy będziecie moją chlubą i moją radością.

Nie żądam od was obietnicy, słowa. Wiem, że w swych sercach jużście je dali. I dziękuję wam.

A wtem wszedł pedel, żeby na „finis”<sup>10</sup> dzwonić. Wyszliśmy z ławek cicho jak w kościele, a ten chłopiec, co się prześmiewał, podszedł do nauczyciela i rzekł drżącym głosem:

– Panie nauczycielu! Niech mi pan przebaczy.

Nauczyciel pocałował go w czoło i rzekł:

– Idź w spokoju, mój synu.

---

<sup>10</sup> *finis* (łac.) – koniec; tu: koniec lekcji. [przypis edytorski]

## Wypadek

21. piątek

Rok się zaczął nieszczęśliwie. Właśnie powtarzałem ojcu słowa nauczyciela idąc do szkoły dziś rano, kiedyśmy zobaczyli w ulicy tłum ludzi, którzy się cisnęli do drzwi naszej sekcji. Więc ojciec zaraz rzekł:

– Wypadek jakiś. Źle się rok zaczyna...

Przepchnęliśmy się z trudem. Wielka sala pełna była rodziców i chłopców, których nauczyciele żadnym sposobem nie mogli w klasach utrzymać, a wszyscy zwróceni byli do kancelarii dyrektora i słychać było głosy: „Biedny chłopiec! Biedny Robetti!” A ponad głowami, w głębi zapchanej ludźmi sali, widać było kask gwardzysty i łysą czaszkę dyrektora. Potem przyszedł pan w cylindrze, a ludzie mówili: „Doktor! Doktor!”

Mój ojciec zapytał jednego z nauczycieli:

– Co się stało?

– Koło przeszło chłopcu przez nogę – odpowiedział nauczyciel.

– Nogę ma złamaną – rzekł inny.

Chłopiec jest uczniem z drugiej klasy. Idąc do szkoły i widząc, jak się malec jeden ze wstępnej<sup>11</sup> matce wyrwał i na ulicy padł tuż, tuż przed nadjeżdżającym omnibusem, rzucił się do tego wstępniaka, porwał go z ziemi i na bezpiecznym miejscu postawił. Sam jednak nie zdążył cofnąć wyciągniętej nogi – i zgruchotało mu ją koło omnibusu<sup>12</sup>. To syn kapitana artylerii.

Kiedy tak ludzie mówili, wpadła do sali jakaś pani, jak szalona rozpychając tłum przed sobą. To była matka Robettiego, po którą posłano. A wtem podbiegła ku niej druga pani i łkając głośno zarzuciła jej ręce na szyję. To była matka ocalonego wstępniaka. Obie wpadły do pokoju dyrektora, skąd dał się słyszeć rozpaczliwy okrzyk:

– O mój Julek! O dziecko moje!

Tymczasem zatrzymał się przed drzwiami szkoły zamknięty powóz, a po chwili ukazał się dyrektor niosąc na rękę biednego chłopca, który miał głowę zwieszoną przez ramię, twarz zupełnie białą i zamknięte oczy. Natychmiast uciszyli się wszyscy; słychać było tylko głośnie łkania matki. Wtedy dyrektor zatrzymał się na chwilę, pobladł i uniósł chłopca w obu rękach, aby go pokazać tłumowi. O, wtedy nauczyciele, nauczycielki, rodzice, dzieci – wszyscy razem zaszemrali wzruszonym głosem: „Dzielny Robetti! Dzielny, biedny chłopczyzna!” – i posyłali mu pocałunki od ust, a ci, co byli bliżej, całowali jego zwieszoną bezwładnie rękę. Ale on otworzył oczy i rzekł:

– A mój tornister?

A matka ocalonego malca pokazała mu tornister i rzekła:

– Niosę ci go, aniele drogi, niosę...

I poszli; matka Robettiego miała twarz obu rękami zakrytą. Poszli, ułożyli chłopca w powozie, powóz ruszył. A my weszliśmy do szkoły w milczeniu.

---

<sup>11</sup> *wstępna* – tu: zerówka lub pierwsza klasa. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *omnibus* – duży pojazd konny, używany w komunikacji miejskiej tak, jak dziś autobus. [przypis edytorski]

## Mały Kalabryczyk<sup>13</sup>

22. sobota

Wczoraj wieczór, kiedy nauczyciel mówił z nami o biednym Robettim, który długo, długo będzie musiał chodzić o kulach, wszedł dyrektor z nowo zapisanym uczniem. Ten miał twarz bardzo ciemną, włosy czarne i duże czarne oczy, nad którymi gęste brwi prawie że się łączyły na czole. Chłopiec był zresztą cały ciemno ubrany i przepasany czarnym skórzanym pasem.

Szepnąwszy parę słów nauczycielowi dyrektor wyszedł zostawiając przy nim chłopca, który patrzył na nas swymi czarnymi oczyma jakby wystraszony. Wtedy nauczyciel wziął go za rękę i rzekł:

– Cieszcicie się, dzieci! Wchodzi oto dziś do szkoły mały Włoch, urodzony w Reggio w Kalabrii, więcej niż pięćset mil od nas dalekiej. Rodzina jego ziemia jest ziemią pełną chwały, która dała Włochom wielu sławnych ludzi, wielu tęgich pracowników i dzielnych żołnierzy. A jest to jedna z ziem najpiękniejszych naszej ojczyzny; dziedzina wielkich lasów i wielkich gór, zamieszkała przez lud pełen zdolności i odwagi.

Bądźcież mu przyjaźni a życzliwi, żeby się nie czuł oddalonym od swych miejsc rodzinnych. Pokażcie mu, że mały Włoch, gdziekolwiek by wszedł do włoskiej szkoły, wszędzie znajdzie braci.

To rzekłszy powstał i naznaczył na wielkiej mapie ściennej ten punkt, gdzie jest Reggio i Kalabria<sup>14</sup>. Po czym zawołał głośno:

– Ernest Derossi!

Właśnie ten, co to zawsze nagrody pierwsze bierze. Derossi podniósł się.

– Pójdź, chłopcze! – rzekł nauczyciel. Derossi wyszedł z ławki, zbliżył się do stołu i stanął wprost Kalabryczyka.

– Jako prymus – powiedział nauczyciel – uściskaj w imieniu całej klasy nowego kolecę. Uściskaj syna Kalabrii, ty, dziecko Piemontu<sup>15</sup>.

Derossi uściskał Kalabryczyka serdecznie i swoim dźwięcznym głosem rzekł:

– Witaj nam, kolego!

Na co Kalabryczyk z impetem ucałował go w oba policzki, a reszta zaczęła bić brawo.

– Cicho tam! – zawołał nauczyciel. – W szkole nie daje się oklasków!

Ale znać było po nim, że z nas kontent<sup>16</sup>. A i Kalabryczyk był kontent.

Zaraz mu też nauczyciel wyznaczył miejsce i sam go odprowadził na nie, po czym rzekł:

– Pamiętajcie, com wam powiedział! Bo to jest wielka rzecz! Bo o to, żeby chłopiec z Kalabrii czuł się w Turynie jak w domu, a chłopiec z Turynu czuł się jak w domu w Kalabrii – kraj nasz ojczysty lat pięćdziesiąt walczył, a więcej niż trzydzieści tysięcy Włochów oddało życie za to<sup>17</sup>! Szanujcie się więc i kochajcie wzajem; a gdyby który z was obraził tego towarzysza za to, że nie w naszej prowincji się rodził, stałby się niegodnym – słyszycie? – niegodnym podnieść oczu na trójkolorowy sztandar naszej jedności włoskiej.

Zaledwie też Kalabryczyk usiadł, kiedy co bliżsi obdarowali go stalówkami i pieczętkami, a jeden z ostatniej ławki przysłał mu oślą pocztą prawdziwą szwedzką markę<sup>18</sup>.

---

<sup>13</sup> *Kalabryczyk* – mieszkaniec Kalabrii, tj. południowej części Włoch. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *Kalabria* – południowa część Półwyspu Apenińskiego. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *Piemont* – region w północno-zachodnich Włoszech, graniczący z Francją i ze Szwajcarią. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *kontent* (daw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *...więcej niż trzydzieści tysięcy Włochów oddało życie za to* – kolejne wojny o zjednoczenie Włoch toczyły się w latach 1848–1870. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *marka* (daw.) – znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

## Moi koledzy

25. wtorek

Ten chłopiec, co przysłał markę Kalabryczykowi, nazywa się Garrone i ja go najlepiej lubię. Największy jest z całej klasy, ma blisko lat czternaście, dużą głowę i szerokie plecy. Sama w nim dobroć, kiedy się uśmiechnie, ale uśmiecha się rzadko i zwykle jest poważny jak dorosły człowiek.

Dosyć już dużo z moich kolegów znam bliżej. Drugi, który mi się także bardzo podoba, nazywa się Coretti. Nosi bluzę brunatną i beret z kociej sierści. Zawsze wesół, jest synem handlarza drzewem, który się bił w wojnie 66 roku pod księciem Humbertem<sup>19</sup> i dostał podobno coś aż trzy medale. Lubię też małego Nelli, biednego garbuska, wątego i bladego na twarzy. Jest także u nas jeden elegant, który po sobie zawsze piórka zbiera, a nazywa się Vatini. W ławce znów przede mną siedzi chłopiec, zwany Mularczykiem, bo ojciec jego jest mularzem<sup>20</sup>; gęba okrągła jak jabłko, nosek jak kłębuszek. Mularczyk ma szczególny talent robienia zajęczego pyszczka. Więc wszyscy mu każą raz w raz robić zajęczy pyszczek i za boki się biorą ze śmiechu. Nosi on mały kapelusik, tęgo<sup>21</sup> już obszarpany, który zwija i chowa w kieszeń jak chustkę do nosa.

Zaraz przy Mularczyku siedzi Garoffi, chudy i długi dryblas, z nosem jak dziób krogulczy i z bardzo małymi oczkami. Ten ciągle handluje, ciągle się mienia na pióra, pudełka zapalek, na obrazki, a zaś lekcje to sobie na paznokciach pisze, żeby je potem czytać, jak go wyrwą. Dalej siedzi paniczek, Karol Nobis, bardzo pyszny w sobie, między dwoma chłopcami, których niezmiernie lubię. Jeden syn kowala, mizerak chorowity, nosi kamizelkę, która mu spada do kolan, zawsze jest czegoś przestraszony i nigdy się nie śmieje, a drugi rudy, z ręką uschniętą, co ją na temblaku trzyma. Ojciec jego wywędrował do Ameryki, a matka chodzi z koszem sprzedając jarzyny. Ciekawym także typem jest mój sąsiad z lewej strony, Stardi, krótki i gruby, prawie że bez szyi, mruczek, co do nikogo nie przemówi i niewiele też rozumie, co do niego mówią, ale patrzy w nauczyciela jak w tuza<sup>22</sup> zmarszczywszy czoło i ścisnąwszy zęby, a spytać go o co, kiedy nauczyciel mówi, to za pierwszym i drugim razem nie odpowie, a za trzecim takiego kuksa da ci w bok, że świecek w oczach stają. Dalej siedzi czarniawy i posępny na twarzy jeden, co się nazywa Franti. Biedak był już wypędzony z jednej sekcji<sup>23</sup> szkolnej.

Są też dwaj bracia jednako odziani i tak są do siebie podobni jak dwie krople wody. Ci noszą kapelusze kalabryjskie na ucho, z bażancim piórem, z wielką fantazją. Ale najurodziwszy ze wszystkich, najwięcej zdolny i który z pewnością przez ten rok także będzie pierwszym uczniem – to Derossi. Nauczyciel się już na nim poznał i raz w raz go do tablicy wyrwa.

Ja przecież i tak wolę Precossiego, tego syna kowala, co ma tę długą kamizelkę i jest chorowity. Podobno go ojciec bije. Może, bo chłopak jest bardzo zalękniony, a jak kogo trąci albo o co spyta, to zawsze dodaje „przepraszam bardzo” – i tak żałośnie patrzy tymi smutnymi oczyma. Ale jednak Garrone jest i największy, i najlepszy ze wszystkich.

---

<sup>19</sup> *Humbert I* (1844–1900) – król Włoch od 1878. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *mularz* – dziś: murarz. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *tęgo* – mocno. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *tuz* (z niem.) – as w talii kart; „patrzeć jak w tuza” – patrzeć z uwagą. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *sekcja* – tu: szkoła. [przypis edytorski]

## Szlachetny postępek

26. środa

Zdarzyło mi się poznać Garronego bliżej tego ranka. Kiedym przyszedł do szkoły – a spóźniłem się trochę, bo mnie zatrzymała nauczycielka z pierwszej wyższej, aby zapytać, o której godzinie mogłaby przyjść nas odwiedzić, tak żeby zastać mnie w domu – nauczyciela jeszcze nie było, a trzech czy czterech chłopcy znęcali się nad biednym Crossim, tym rudym, co to ma rękę uschniętą, a matka jego sprzedaje jarzyny. Szturchali go liniami, rzucali mu w twarz łupiny od kasztanów, przezywali mańkutem i strachem na wróble, przedrzeźniając, jak to on rękę na temblaku nosi. A biedny kaleka stał w głębi ławek blady i milczał patrząc błagalnie to jednemu, to drugiemu w oczy, żeby mu dali spokój. A że chłopcy naigrawali się z niego coraz złośliwiej, zaczął cały drzeć z gniewu i czerwienieć. Wtem Franti, ten wyrzutek z brzydką, ponurą twarzą, skoczył na ławkę i udając, że dźwiga dwa kosze na rękę, począł małpować matkę Crossiego, jak przychodziła i czekała syna u drzwi szkoły, a teraz nie przychodzi, bo jest chora. Cała kupa uczniów wybuchnęła śmiechem. Wtedy Crossi stracił głowę, chwycił kałamarz i cisnął nim co siły prosto w łeb Frantiego. Ale Franti się uchylił, a kałamarz trafił w samą pierś wchodzącego w tej chwili nauczyciela. Wszyscy umknęli na miejsca i ucichli ze strachu jak trusie. Nauczyciel pobladł, podszedł do stołu i gniewnym głosem zapytał:

– Który to uczynił?

Nie odpowiedział nikt. Więc nauczyciel krzyknął jeszcze gniewniej:

– Który?

Wtedy Garrone, ruszony litością nad biednym Crossim, podniósł się w ławce i rzekł:

– To ja!

Nauczyciel spojrzał na niego, popatrzył po uczniach osłupiałych i nagle uspokojonym głosem powiedział:

– Nie! To nie ty. – A po chwili: – Nie ukarzę winnego. Niech wstanie.

Crossi wstał i płacząc tak mówił:

– Szturchali mnie, prześmiewali... straciłem głowę... rzuciłem...

– Siądź – rzekł nauczyciel. – Niech wstaną ci, którzy go doprowadzili do gniewu.

Wstało czterech z pochyloną głową.

– Zniewałyście – mówił nauczyciel – kolegę, który z wami nie szukał zaczepki, wyśmiewaliście się z nieszczęśliwego, prześladowaliście kalekę, który się nie mógł obronić. Spełniliście jeden z najnikczemniejszych, najhaniebniejszych czynów, jakim się człowiek zmazać<sup>24</sup> może. Podli!

To powiedziawszy wszedł między ławki, podłożył rękę pod brodę Garronego, który stał z głową schyloną, a podniósłszy mu twarz spojrzał w oczy jego i rzekł:

– Szlachetna dusza w tobie!

Garrone, pomilczawszy chwilę, zamruczał coś niewyraźnie na ucho nauczycielowi, a ten odwrócił się do czterech winowajców i rzekł nagle:

– Przebaczam wam!

---

<sup>24</sup> zmazać – zhańbić. [przypis edytorski]

## Moja nauczycielka z pierwszej wyższej

27. czwartek

Moja nauczycielka dotrzymała obietnicy i przyszła dziś do nas, właśnie w chwili kiedy miał wyjść z mamą i zanieść trochę bielizny biednej kobiecie, o której wyczytaliśmy w gazecie.

Już rok prawie upłynął od jej ostatnich odwiedzin. Wszyscyśmy się ucieszyli bardzo. Zawsze ta sama. Drobna, mała, z zieloną woalką<sup>25</sup> wkoło kapelusza, biednie ubrana, źle uczesana, nie mająca nigdy czasu, żeby spocząć; trochę tylko bledsza niżli w roku zeszłym, z kilkoma więcej włosami siwymi, i kaszle ciągle.

Zaraz też matka moja powiedziała:

– Jakże tam ze zdrowiem, droga pani? Pani go nic a nic nie szanuje, jak widzę.

– Ech, co tam zdrowie! – odrzekła nauczycielka z tym swoim uśmiechem, co to przez pół smutny, a przez pół wesoły.

– Pani zanadto głoś natęża przy lekcjach – dodała mama.

– Pani się zamęcza z tymi chłopakami...

I prawda! Przez cały czas nauki słysząc jej głos w klasie; pamiętam to dobrze, z czasów kiedy do niej chodziłem. Mówi ciągle, mówi głośno, żeby uwagę chłopców utrzymać, a nie usiądzie ani na minutę. Wiedziałem też z góry, że do nas przyjdzie, bo nigdy nie zapomina o swoich uczniach, całymi latami pamięta ich imiona, a przyjdą miesięczne egzaminy, to biegnie pytać dyrektora, jakie mieli stopnie; nieraz też czeka u wyjścia i każe sobie pokazywać zadania, żeby zobaczyć, jakie zrobili postępy. Wielu też przychodzi do niej z gimnazjum jeszcze, choć już noszą długie spodnie i mają zegarki.

Dzisiaj właśnie wróciła okropnie zmęczona z galerii obrazów, gdzie zaprowadziła swoich uczniów; bo i dawnych lat co czwartek prowadziła chłopców do jakiegoś muzeum i tłumaczyła im tam różne rzeczy. Biedaczka! Schudła więcej jeszcze. Ale zawsze tak samo żywa i zaraz w zapał wpada, gdy mówi o swojej szkole. Chciała koniecznie zobaczyć to łóżko, w którym widziała mnie ciężko chorego przed dwoma laty, a teraz w nim mój młodszy brat sypia; patrzyła na nie przez chwilę i nie mogła mówić.

Chcieliśmy ją zatrzymać, ale spieszyła się odwiedzić małego ucznia swojej klasy, syna siodłarza, chorego na odrę; a jeszcze miała całą pakę zadań do poprawienia, robotę na cały wieczór, i przed nocą jeszcze jedną lekcję arytmetyki u jakiejś kupcowej.

– No jakże, Henryku – rzekła na odchodnym – kochasz jeszcze swoją nauczycielkę, teraz kiedy odrabiasz takie trudne zadania i piszesz takie długie wypracowania?

Uściskała mnie i już ze schodów zszedłszy zawołała jeszcze:

– Nie zapomnij o mnie, pamiętaj, Henryku!

„O droga, droga nauczycielko, nigdy nie zapomnę ciebie! I jak będę duży, też cię nie zapomnę i pójde zobaczyć, jak tam w twojej klasie uczysz twoich malców. A ile razy przejdę blisko jakiej szkoły, a głos nauczycielki posłyszę, będzie mi się zdawało, że to jest twój głos, i będę myślał o tych dwóch latach, które spędziłem w twojej szkole, gdzie się tylu rzeczy nauczyłem, gdzie cię widział tyle razy zmęczoną i chorą, a zawsze czynną<sup>26</sup>, zawsze pobłażliwą; zrozpaczoną, kiedy się któremu z nas obierał palec; drżącą, kiedy inspektor zapytał nas o co; szczęśliwą, gdyśmy odpowiedzieli jak należy; zawsze dobrą, zawsze kochającą jak matka rodzona.

Nigdy, nigdy cię nie zapomnę, nauczycielko moja!”

---

<sup>25</sup> woalka – kawałek przezroczystej tkaniny, przesłaniający twarz. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> czynny – tu: aktywny. [przypis edytorski]

## Na poddaszu

28. piątek

Wczoraj wieczorem poszliśmy z mamą i z moją siostrą Sylwią, żeby zanieść bieliznę tej biednej kobiecie, którą polecali w dzienniku. Ja niosłem pakiet, a Sylwia dziennik, gdzie był wydrukowany adres i pierwsze litery nazwiska. Wyszliśmy pod sam dach jakiegoś starego domu, gdzie był długi korytarz z wieloma drzwiami. Mama zapukała do ostatnich. Otworzyła nam je kobieta jeszcze dosyć młoda, z jasnymi włosami, wychudzona, a mnie zaraz się wydało, że ją już gdzieś widział, z tą samą niebieską chusteczką na głowie, którą miała teraz.

– Czy to wy jesteście ta a ta z dziennika? – spytała mama.

– Tak, pani, ja jestem.

– Bo myśmy wam tu przynieśli trochę bielizny.

Więc zaraz zaczęła dziękować i błogosławić, że nie było temu końca.

Tymczasem patrzę ja, a tu w kącie tej pustej, ciemnej izby chłopczyzna jakiś przed stołkiem klęczy, odwrócony do nas plecami, i jak gdyby pisze. I naprawdę pisał mając kajet<sup>27</sup> na stołku, a kałamarz na podłodze. Sam nie wiem, jak on mógł tak pisać w tym mroku. Jeszczem myślał o tym, kiedy nagle poznałem rude włosy i długą kamizelkę barchanową<sup>28</sup> Crossiego, syna zieleniarki, tego, co to miał uschniętą rękę. Zarazem to mamie powiedział, podczas gdy kobieta składała bieliznę.

– Cicho! – rzekła mama. – Bo może by się wstydział, że dajemy jałmużnę jego matce. Nie mów nic, jakbyś go nie widział.

Ale w tej chwili właśnie odwrócił się Crossi, a widząc, że stoję zmieszany, uśmiechnął się. Zaraz też trąciła mnie mama, żebym pobiegł go uściskać. Uściskałem go, a on powstał z klęczek i wziął mnie za rękę.

– Otom została jak sierota – mówiła tymczasem jego matka do mojej – sama z tym chłopcem kaleką. Mąż od sześciu lat w Ameryce, a mnie chwyciła jakaś choroba, że nie mam siły chodzić z jarzynami i zarobić tych kilku groszy na życie. Wyprzedali my wszystko... Nie zostało nawet i stołu dla mego biednego Ludwisia, coby pisał na nim. Jeszcze jakeśmy mieli stragan w bramie, to na straganie sobie z boku pisał. Ale już teraz nie mamy. Nie mamy też i na światło, żeby do ostatka nie marnować oczów. Dobrze jeszcze, że go mogę posyłać do szkoły, że mu tam dają książki i kajety. A chłopczyśko aż drży do nauki. Biedna ja, matka! Biedne my, sieroty!

Więc moja mama dała jej wszystko, co tylko miała pieniędzy w woreczku, uściskała chłopca i prawie że płakała wychodząc z izby.

– Patrz na tego biedaka – rzekła, gdyśmy wyszli – jak się to uczy, jak pracuje pilnie! Ty masz wszystkie udogodnienia, masz wszystko, czego ci trzeba, a przecież nauka ciężką ci się zdaje! Ach, Henryku mój, więcej jest zasługi w jednodziennej pracy tego chłopca niżli w twojej przez rok cały.

Takiemu, takiemu należałoby dawać pierwsze nagrody!

---

<sup>27</sup> kajet (daw., z fr.) – zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> barchanowy – wykonany z barchanu, czyli z grubej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

## Szkoła

28. piątek

Tak, drogi Henryku. Nauka ci jest ciężka, jak ci to powiedziała twoja matka; jeszcze cię nie widział idącego do szkoły z tą wesołą twarzą i duchem ochotnym, jakie bym chciał widzieć u ciebie. Szkoła odraza cię jeszcze. Ale pomyśl tylko, jak marne, jak nic niewarte byłyby dni twoje, gdybyś nie chodził do szkoły. Jeszcze by tydzień nie minął, a już byś prosił, ze złożonymi rękami, żeby cię znów posłać do niej, przejęty nudą i wstydem, zmęczony rozrywkami i sam sobą.

Wszyscy, wszyscy uczą się teraz, mój drogi Henryku. Pomyśl no o tych robotnikach, którzy idą do szkoły wieczornej po całym dniu krwawej pracy; o tych kobietach, o tych dzieciach chodzących do szkoły niedzielnej po tygodniu ciężkich, często ponad siły trudów; o tych żołnierzach, którzy chwytają za książki, za kajety, ledwo wróciwszy z swych mozolnych ćwiczeń; pomyśl o dzieciach niewidomych, niemych, które mimo kalectwa do nauki się garną; pomyśl wreszcie o więźniach, bo i ci nawet uczą się czytać i pisać.

Kiedy wychodzisz rankiem z domu, wspomnij, że w tej samej chwili w tym samym mieście więcej niż trzydzieści tysięcy chłopców tak samo jak ty idzie się zamknąć na trzy godziny w klasie. Ale co!... Wspomnij raczej o tych milionach dzieci dążących w tym samym czasie, co i ty, do szkoły, po wszystkich krajach świata.

Uprzytomnij sobie, jak cała ta wielka armia przyszłości idzie, idzie przez ciche wioski, przez gwarne miasta, po brzegach mórz i jezior, gdzie pod upalnym słońcem, gdzie pod chmurnym niebem, łodziami – gdzie braknie ładu, końmi – gdzie nogi ustają, saniami po śniegach i lodach, przez doliny, przez wzgórza, skroś lasów i potoków, po górskich kamienistych ścieżynach, to pojedynkiem<sup>29</sup>, to kupą, to znów długim rzędem, wszyscy z książkami pod pachą, odziani w tysiąc odmian i sposobów, mówiący tysiącem języków i narzeczy, od szkół kresowych północy, w lodach gdzieś zgubionych, do ostatnich szkół Arabii, ocienionych palmą, miliony idą, miliony, uczyć się tych samych rzeczy, tysiącem różnych sposobów! Wyobraź sobie, drogie dziecko, to olbrzymie mrowisko chłopców, stu szczepów, stu ludów, stu krain; ten ruch niezmierny, którego i ty jesteś częścią, i pomyśl: Gdyby ten ruch ustał, ludzkość popadłaby w dawne barbarzyństwo. Bo on właśnie jest postępem, on jest nadzieją, on jest chwałą świata!

Odwagi zatem, mały żołnierzu milionowej armii! Książki twoje są twoją bronią, twoja klasa jest twoim regimentem<sup>30</sup>, polem bitwy jest ziemia cała, a zwycięstwem jest cywilizacja ludzkości.

Nie bądźże tchórzem w tym boju, mój Henryku drogi!

*Twój ojciec.*

---

<sup>29</sup> *pojedynkiem* – dziś: w pojedynkę. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *regiment* – oddział wojskowy. [przypis edytorski]

## Mały patriota z Padwy

Opowiadanie miesięczne

29. sobota

Nie będę tchórzem, nie! Ale chodziłbym z dużo większą ochotą do szkoły, gdyby nam nauczyciel opowiadał co dzień takie rzeczy, jak dziś z rana. Ale cóż! Tylko raz w miesiącu ma być jedno takie i mamy je dostać na piśmie, i będzie zawsze o pięknym i dobrym czynie jakiegoś małego chłopca. To pierwsze opowiadanie ma tytuł „Mały patriota z Padwy”. Oto treść jego:

Pewnego razu parostatek francuski płynął z Barcelony, miasta hiszpańskiego, do Genui; a znajdowali się na pokładzie Francuzi, Włosi, Hiszpanie i Szwajcarowie. I był tam między innymi chłopiec jedenastoletni, biednie odziany, sam, który się trzymał ciągle na uboczu jak leśne zwierzątko, poglądając na ludzi spode łba! Bo to było tak: Przed dwoma laty jego ojciec i jego matka, wieśniaczka z okolic Padwy, sprzedali tego chłopca bandzie linoskoków, którzy nauczywszy go przeróżnych sztuk to pięścią, to kopaniem, to głodem, wędrowali z nim przez Francję i Hiszpanię, bijąc go bez litości i jeść mu nie dając. Więc kiedy przywędrowali do Barcelony, ów chłopiec, nie mogąc wytrzymać tego bicia i tego głodzenia i wyniszczony do ostatka sił, uciekł od swego dozorca i oddał się w opiekę konsula włoskiego, który ulitowawszy się nad nim umieścił go na tym parostatku i dał mu list do kwestora<sup>31</sup> w Genui, żeby tego biedaka do rodziców odesłał. Do tych rodziców, co go to sprzedali, jak gdyby był bydłem, nie człowiekiem. Biedny chłopiec był cały poraniony i ledwo się na nogach trzymał. Dali mu kajutę drugiej klasy. Patrzyli na niego ludzie, niejedni i zapytał o co, ale on nie odpowiadał. I tak się zdawało, że wszystkich nienawidzi i wszystkimi gardzi, tak mu dojadły i struły serce te razy i te głodzenia. Wszakże udało się trzem podróżnym przez uporczywe pytania rozwiązać mu jakoś język, tak że w kilku szorstkich słowach na pół włoskich, na pół hiszpańskich, a na pół francuskich opowiedział im swoją historię.

Ci trzej podróżni to nie byli Włosi, ale zrozumieli, co ten chłopiec mówił, i trochę z litości, a trochę z tego, że im wino szumiało w głowie, dali mu pieniędzy żartując i namawiając, żeby im jeszcze co więcej opowiedział. A że do sali weszło w owej chwili kilka pań, wszyscy trzej chcieli się pokazać i rzucali mu pieniądze wołając: – Trzymaj, chłopcze! Trzymaj jeszcze! – i pobrzękując lirami<sup>32</sup> po stole.

Chłopiec napełnił kieszenie, podziękował półgłosem, zawsze jednako dziki, ale ze spojrzeniem pierwszy raz uśmiechniętym i wdzięcznym; po czym zaraz poszedł do swojej kajuty, zaciągnął firankę i siedział cicho, rozmyślając o swym dziwnym losie. Mógł teraz za te pieniądze nakupić sobie różnych łakotek<sup>33</sup>, on, który przez dwa lata łaknął suchego chleba; mógł też kupić sobie w Genui ubranie, on, co od dwóch lat w łachmanach chodził, i także mógł przynieść je z sobą rodzicom, którzy pewnie inaczej by go wtedy przyjęli, niż gdyby przyszedł z próżnymi rękami. Przecież te pieniądze to były dla niego jakby mały majątek. Tak to on sobie rozmyślał pocieszony, poza firanką kajuty, podczas kiedy trzej podróżni rozmawiali z sobą siedząc przy obiadowym stole w pośrodku sali drugiej klasy. Pili i rozmawiali

---

<sup>31</sup> *kwesor* – urzędnik odpowiedzialny za finanse i podatki. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *lir* – waluta włoska. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *łakotki* – smakołyki. [przypis edytorski]

o podróżach swoich, o krajach, jakie poznali, i od słowa do słowa zaczęli mówić o Włochach.

Zaczął jeden skarżyć się na oberże, drugi na koleje żelazne, a potem wszyscy wpadli w zapał i wygadywali na wszystko, co włoskie. Ten wolałby podróżować po Laponii, tamten opowiadał, jako w całych Włoszech są sami oszuści i złodzieje, trzeci prześmiewał się, że urzędnicy włoscy nie umieją czytać.

– Naród nieuków! – rzekł pierwszy.

– Brudasów! – rzekł drugi.

– Zło... – zaczął trzeci i chciał powiedzieć złodziei, ale nie dokończył słowa.

Grad soldów<sup>34</sup> i półlirówek spadł im nagle na głowy, na plecy, potoczył się po stole, po pokładzie z piekielnym hałasem.

Wszyscy trzej skoczyli wściekli patrząc w górę, a tu im jeszcze na twarze runęła garść miedziaków.

– Macie tu swoje pieniądze! Trzymajcie swoje grosze! – krzyknął z pogardą chłopiec zerwawszy firankę swej kajuty. – Nie przyjmuję wsparcia od tych, którzy moją ojczyznę znieważają.

---

<sup>34</sup> *sold* – drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

## Listopad

### Kominiarczyk

1. listopada

Wczoraj wieczorem poszedłem do żeńskiej szkoły, tuż przy naszej, żeby zanieść opowiadanie o chłopcu z Padwy nauczycielce Sylwii, która je przeczytać chciała.

Sześćset dziewcząt jest w tej szkole!

Zaczynały właśnie wychodzić, kiedym nadszedł, wesoło, bo idą dwa dni wolne, Wszystkich Świętych i Zaduszki – i oto, com tam zobaczył. Wprost wejścia do szkoły, po drugiej stronie ulicy, oparty o mur, zakrywając ręką oczy, stał kominiarczyk, zupełnie jeszcze mały i czarny na twarzy, ze swoim workiem, ze swoim drapaczem i gorzko płakał. Zaraz do niego podeszły dwie czy trzy starsze dziewczynki pytając, czego by tak bardzo płakał. Ale kominiarczyk nie odpowiadał, tylko jeszcze głośniejszo zaczął.

– Ale powiedz, powiedz, co ci jest i czego tak płaczesz? – dopytywały się dziewczynki.

Wtedy odjął rękę od twarzy zupełnie jeszcze dziecinnej i szlochając opowiedział, że czyścił kominy w kilku domach, zarobił trzydzieści soldów<sup>35</sup> i że je zgubił.

– Musiały wypaść przez dziurę w kieszeni – dodał pokazując rozdartą kieszeń – a teraz nie śmiem wrócić do domu, bo mnie majster bić będzie.

Tutaj znów gorzko zaczął płakać zakrywszy twarz ręką.

Dziewczynki spoważniały i patrzyły na biednego chłopca zafrasowane<sup>36</sup>. Tymczasem nadbiegały inne, małe i duże, strojne i ubogie, z teczkami pod pachą, a jedna starsza, z niebieskim piórkiem w kapelusiku, dobyła z kieszeni dwa soldy i rzekła:

– Ja mam tylko dwa soldy... Złożmy się na niego!

– I ja mam także dwa soldy – powiedziała inna, czerwono ubrana. – Może się u wszystkich znajdzie ze trzydzieści...

I zaraz zaczęły się zwoływać:

– Amelka! Ludka! Anulka!... Daj no solda!... Kto ma solda?... Dawajcie no tu soldy!...

Kilka z nich miało po parę soldów na kwiaty, na kajety. Mniejsze oddawały swoje grosiaki. Wtedy ta z niebieskim piórkiem zebrała wszystko i głośno liczyła:

–... Osiem, dziesięć, piętnaście! – Ale nie stało<sup>37</sup> więcej.

Wtem podeszła największa z nich wszystkich, że prawie mogła ująć za nauczycielkę, i dała pół lira, a dziewczęta zaczęły chwalić i dziękować.

Ale brakowało jeszcze pięciu soldów.

– Idą teraz te z czwartej... Te mają! – rzekła jedna.

Jakoż przyszły te z czwartej i posypały się soldy. Wszystkie zaczęły się cisnąć do biedaka. Pięknie było patrzeć na tego małego kominiarczyka, w pośrodku tych jasnych sukienek, tych fruwających wstążek, piórek... Już dawno zebrało się trzydzieści soldów, ale dziewczętka jeszcze dokładały, a te najmniejsze, którym jeszcze nie dawano pieniędzy w domu, przepychały się pomiędzy dużymi, dając mu parę kwiatków, żeby tylko i od nich coś było.

A wtem wyszła odzwierna wołając głośno:

– Pani dyrektorka idzie!

---

<sup>35</sup> *sold* – drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *zafrasowany* (daw.) – zmartwiony. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *stać* (daw.) – wystarczyć. [przypis edytorski]

Porwały się dziewczęta jakby stado wróbli. A wtedy kominiarczyk ukazał się w pośrodku ulicy sam, ocierający z łez oczy, uśmiechnięty, ściskający w obu rękach swoje soldy, a u kapelusza, u kurtki, po kieszeniach tyle miał kwiatów, że aż się sypały i pełno ich było nawet u nóg jego, na ziemi.

## Dzień Zaduszny

2. listopada

... Dzień dzisiejszy poświęcony jest pamięci zmarłych. Czy wiesz, Henryku, o jakich to zmarłych wy, chłopcy, pamiętać dzisiaj powinniście? O tych, mój synu, którzy pomarli za was, za chłopców, za dzieci. A umarło ich niemało i umiera ciągle. Pomyślałeś ty kiedy o tych ojcach, którzy sobie skracają życie w ciężkiej pracy? O tych matkach, które przedwcześnie w grób idą, umęczone odmawianiem sobie wszystkiego, byle utrzymać swych synów? Czy wiesz, ilu ojców nóż sobie do serc wbiło nie mogąc znieść widoku nędzy swoich dzieci? Ile kobiet potopiło się, pomarło w rozpacz, zwiariowało straciwszy ukochane dziecko?

O tych umarłych pomyśl dzisiaj, Henryku.

Myśl o tych nauczycielkach, które w kwiecie młodości zeszyły z tego świata, nabywszy suchot<sup>38</sup> w murach szkolnych, w ciężkiej pracy, nie mając serca rozstać się z dziećmi, którym poświęciły życie.

Myśl o tych lekarzach, którzy pomarli młodo zaraziwszy się chorobami leczonych przez siebie dzieci. Myśl o tych wszystkich, którzy w powodziach, pożarach, w klęskach głodowych, w chwilach śmiertelnych niebezpieczeństw oddali dzieciom, obcym nawet, ostatni kawałek chleba, ostatnią deskę, ostatnią linę ratunkową, a sami umierali szczęśliwi, że im się udało ocalić życie niewiniątka. Takich zmarłych, Henryku, tysiące jest, tysiące. Każdy cmentarz ma takie mogiły święte, których prochy, gdyby mogły ożyć i głos wydać, wymówiłyby imię jakiejś dziewczyny, której poświęciły szczęście młodości, spokój późnego wieku, uczucia, myśli, życie. A w mogiłach tych leżą młode matki, ludzie w kwiecie lat swoich, starcy posiwiali, młodzieńcy – bohaterscy a nieznani męczennicy dziecięcego świata, szlachetni i wielcy tak, że ziemia nie wydaje tyle kwiatów, ile byśmy na ich mogiły co rok złożyć powinni.

Tak to wy jesteście miłowane, dzieci!

Myślże więc dzisiaj o tych zmarłych z głębokim i wdzięcznym wzruszeniem, a kochaj odtąd więcej tych wszystkich, którzy cię miłują i trują się dla ciebie, mój drogi synu, gdyś jest tak szczęśliwy, że w Dzień Zaduszny nie masz jeszcze do oplakiwania nikogo ze swoich!

*Twoja matka.*

---

<sup>38</sup> suchoty (daw.) – gruźlica. [przypis edytorski]

## Mój przyjaciel Garrone

### 4. piątek

Tylko przez te dwa dni świąt nie byłem w szkole, a już mi było tęskno do mego drogiego Garrone! Im bliżej go poznaję, tym więcej go kocham; a nie tylko ja, ale wszyscy koledzy, wyjąwszy tych dryblasów, co nad innymi chcą przewodzić, a on im nie daje. Więc niech tylko jaki duży rękę na małego podniesie, to mały zaraz krzyczy: – Garrone! Garrone! – a duży umyka.

Ojciec Garronego jest maszynistą na kolei. On sam, biedak, późno zaczął chodzić do szkoły, bo przez parę lat był chory. Najwyższy jest i najmocniejszy z całej naszej klasy. Ławkę jak nic podniesie jedną ręką. Zawsze ma w kieszeni partykę<sup>39</sup> chleba, pojada raz w raz, ale że jest bardzo dobry, o co go tylko poprosić – o ołówek, o gumę, o papier, o scyzoryk – wszystko zaraz pożyczy albo da. W szkole nie śmieje się, nie gada, tylko siedzi nieruchomo w ławce trochę dla niego przyciasnej, z pochylonymi plecami i głową wtuloną w ramiona; a gdy na niego spojrzę, uśmiecha się do mnie mrużąc oczy, właśnie jakby chciał powiedzieć: „No i cóż, Henryku, będziemy przyjaciółmi?” – Śmiać mi się chce, bo na swój duży wzrost ma wszystko to za krótkie, to za wąskie: kurtkę, majtki, mankiety; kapelusz ledwo że na czubku głowy, grube buty, a krawat ściśnięty jak postronek. Drogi Garrone! Dostyc raz na niego spojrzeć, żeby go pokochać!

Wszyscy mali pchają się do jego ławki, żeby być jak najbliżej. W arytmetyce mocny. Nosi książki ściągnięte czerwonym rzemykiem. Ma nóż z rękojeścią z perłowej masy, znaleziony przeszłego roku na placu musztry; skaleczył się raz tym nożem w palec aż do kości prawie, a nikt o tym nie wiedział w szkole – a i w domu ani pisnął, żeby nie zmartwić rodziców. Pozwala z siebie nieraz żartować i nikomu żartów za złe nie bierze; ale jak mu kto powie „nieprawda” na to, co on mówi, że prawda, to mu aż skry z oczu lecą, a pięści tak ściska, że mało nie połamie ławki. W sobotę rano dał solda jednemu z pierwszej wyższego oddziału, bo go malcowi ktoś zabrał i dzieciak beczał na ulicy, że nie ma za co kupić kajetu.

Od trzech dni ślęczy nad listem, którego już jest osiem kartek i który ślicznie wyoźdobił piórkiem na imieniny swej matki. Ta matka często przychodzi po niego, tak samo jest duża i tęga jak on i bardzo miła. Nauczyciel patrzy na to ślęczenie, a przechodząc koło jego ławki klepie go po karku jak dobrego, spokojnego malca.

Bardzo go lubię i kocham i rad<sup>40</sup> jestem, kiedy uścisknę w swojej jego wielką rękę, która się wydaje ręką dorosłego człowieka. Przysiągłbym, że naraziłby życie dla ocalenia kolegi, żeby się dał zabić za niego; jasno to widać w jego oczach; a choć raz w raz coś mruczy swoim grubym głosem, znać, że głos ten idzie z szlachetnego serca.

---

<sup>39</sup> partyka (daw., z łac.) – cząstka, tu: kawałek. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> rad (daw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

## Węglarz i pan

7. poniedziałek

Z pewnością Garrone nigdy by nie powiedział tego, co powiedział wczoraj rano Bettiemu Karol Nobis. Karol Nobis pyszni się, bo ojciec jego jest wielkim panem. Jest to wysoki pan, z dużą czarną brodą, bardzo poważny, który prawie co dzień przychodzi odprowadzać syna.

Nobis pokłócił się wczoraj z Bettim, jednym z tych najmniejszych w klasie, synkiem węglarza; a nie wiedząc, co już powiedzieć, bo nie miał racji, zawołał głośno:

– Twój ojciec jest gałganiarzem!

Betti zaczerwienił się po samą czuprynę i nie odrzekł nic, tylko mu łzy nabiegały do oczu, a wróciwszy do domu powtórzył to ojcu. I oto węglarz, mały człowieczek, cały czarny, ukazał się na popołudniowej lekcji prowadząc chłopca za rękę, ze skargą do nauczyciela. Właśnie opowiadał zajście nauczycielowi, a myśmy wszyscy słuchali w milczeniu, kiedy ojciec Karola, zdejmując jak zwykle płaszcz z syna w progu klasy, posłyszał swoje nazwisko, wszedł i żądał wyjaśnienia.

– Oto ten robotnik – rzekł nauczyciel – przyszedł skarżyć się na pańskiego syna, Karola, który powiedział jego chłopcu: „Twój ojciec jest gałganiarzem”.

Zmarszczył czoło pan Nobis, poczerwieniał na twarzy i obróciwszy się do syna zapytał:

– Czy powiedziałeś te słowa?

Ale syn stojąc pośrodku klasy ze spuszczoną głową naprzeciw małego Bettiego nic nie odpowiedział.

Wtedy ojciec wziął go za ramię, popchnął ku malcowi tak, że się prawie trącili o siebie, i rzekł:

– Przeproś go natychmiast!

Węglarz chciał przeszkodzić temu mówiąc:

– Nie trzeba, nie!...

Ale pan Nobis nie zważał na to i zawołał raz jeszcze:

– Natychmiast go przeproś! Rozumiesz?... Powtarzaj za mną! Dalej... „Przepraszam cię za moje słowa ubliżające, głupie, niegodne, jakie powiedziałem przeciw twemu ojcu, którego rękę ściskając mój ojciec zaszczycony się czuje”.

Rzucił się biedny węglarz i raz jeszcze chciał przeszkodzić, ale pan Nobis nie ustąpił, aż synek jego cienkim głosem, powoli, nie podnosząc oczu od ziemi, powtórzył przeproszenie to co do słowa. Wtedy pan podał rękę węglarzowi, który ją silnie uściskał, po czym zaraz popchnął swego chłopaka w ramiona Karola.

– Uczyni mi pan tę łaskę – rzekł wtedy pan Nobis do nauczyciela – i posadź ich w jednej ławce.

Nauczyciel posadził Bettiego przy Karolu Nobis, a kiedy już byli na miejscu, ojciec jego ukłonił się i wyszedł.

Węglarz stał przez chwilę, jakby odurzony patrząc na obu sąsiadujących z sobą chłopców, potem podszedł do ławki i patrzył na Nobisa, przyjaźnie a żałośnie, tak jakby mu coś miał do powiedzenia. Ale nie powiedział nic, tylko wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać. I tego przecież nie śmiał; musnął mu więc tylko czoło swymi grubymi palcami, zwrócił się ku drzwiom, a obejrzawszy się raz jeszcze, wyszedł cicho.

– Pamiętajcie o tym, coście tu widzieli, chłopcy – rzekł wtedy nauczyciel – bo to jest najpiękniejsza lekcja tegoroczna!

## Nauczycielka mojego braciszka

10. czwartek

Synek węglarza był dawniej uczniem panny Delcati, która przyszła dziś odwiedzić mojego słabego braciszka i ze śmiechem nam opowiadała, jak dwa lata temu matka tego chłopca przyniosła jej pełny fartuch węgla, z podziękowaniem za medal, jaki syn jej dostał. Biedna kobieta uparła się, żeby te węgle dać koniecznie, i prawie że płakała, kiedy jej pełen fartuch odnieść przyszło.

I o innej jeszcze kobiecie opowiadała nam panna Delcati. Ta znów przyniosła jej bukiet kwiatów, a w bukiecie uwiązaną szmatkę z miedziakami. Bardzośmy się ubawili tym opowiadaniem, a brat mój przełknął jakoś lekarstwo, którego pierwej<sup>41</sup> brać nie chciał.

Hej, trzeba to niemało cierpliwości z tymi wstępniakami! Wszystkim brak zębów jak starym; jeden nie wymawia r, drugi nie wymawia s; jeden kaszle, drugiemu krew idzie z nosa; ten upuścił pod ławkę tabliczkę; ten się drze, bo się ukłuł piórem; tamten beczy, bo zamiast kajetu nr II kupił kajet nr I. Stu pięćdziesięciu takich jegomościów w klasie, co nie umieją nic, mają ręce jak z masła, a tu ich pisać ucz! A co w kieszeniach za niestworzone rzeczy do klasy przynoszą! Guziki, korki od flaszek, kawałki lukrecji, tartą cegłę, mnóstwo drobiazgów, które nauczycielka odbierać musi, bo się nimi bawią, a tak umieją chować, że to w pończochach nawet.

A jak nic nie uważają, to strach! Niech bąk wleci przez okno, zaraz wszyscy do niego! A przyjdzie wiosna, to naznoszą zielska, chrząszczów, toto potem lata po klasie, łązi po kałamarzach i smaruje kajety atramentem.

Nauczycielka musi, jak matka, ubierać ich, rozbierać, obwijać im pokłute palce, prostować pogniecione berety, uważać, żeby nie pozamieniali płaszczyków, bo później piszcą i miauczą jak koty!

Biedne nauczycielki! A jeszcze przychodzą matki ze skargami:

- Co to znaczy, proszę pani, że mój chłopiec zgubił pióro?
- Co to znaczy, że mój chłopiec nic a nic się nie nauczył jeszcze?
- Czemu to pani nie wyjmie z ławki tego gwoźdźcia, o który mój Piotruś rozdarł majtki?

Czasem nauczycielka mego brata wpada w złość z tymi chłopakami i gdy już nie może wytrzymać, to palce sobie gryzie, żeby nie dać któremu klapsa. A jak straci cierpliwość, to zaraz jej żal i bierze na kolana dzieciaka i pieści; każe któremu urwisowi iść precz, to potem sama płacze i biegnie klócić się z rodzicami, którzy dzieciom za karę jeść nie dają.

Panna Delcati jest młoda, wysoka, ładnie ubrana, ma czarne włosy, jest bardzo żywa, wszystko robi nagle, prędką się zdaje i porywczą nawet, ale wzrusza się lada drobiazgiem i ma wtedy głos taki tkliwy!

– Przynajmniej to dobrze, że te bębny panią kochają! – rzekła moja matka.

– Prawda, kochają – odpowiedziała – ale niech no się rok skończy, większa część i nie wspomni nawet. Jak już przejdą do nauczyciela, to się wstydzą, że byli w klasie nauczycielki. Po dwóch latach trudów, przywiązawszy się do jakiegoś malca, smutno jest rozłączać się z nim, ale się mówi: „No, tego jestem pewna, ten mnie kocha!” Ale przechodzą wakacje, chłopiec powraca do szkoły, biegnę naprzeciw niemu. „Dziecko, moje drogie dziecko!” A on odwraca głowę w inną stronę.

Tu przerwała nauczycielka.

– Ale ty tak nie zrobisz, maleńki? – rzekła podnosząc się ze łzami w oczach i całując mego braciszka. – Ty nie odwrócisz głowy w inną stronę! Prawda? Nie zaprzecz się twojej starej przyjaciółki.

<sup>41</sup> *pierwej* (daw.) – wcześniej. [przypis edytorski]

## Moja matka

10. czwartek

W obecności nauczycielki twojego małego brata uchybiłeś szacunku winnego twej matce. Niechże się to nie powtórzy już nigdy, Henryku! Nigdy, pamiętaj o tym! Twoje lekkomyślne i uchybiające słowa przeszły mi serce jakby ostrze stali.

Myślałem o twojej matce, jak przed laty stała pochylona przez noc całą u twego łóżeczka, licząc twój oddech, płacząc krwawymi łzami bólu i szczękając zębami z przerażenia na myśl, że cię utracić może. Gdy patrzyłem na nią, lękałem się, że rozum utraci, i prawie żem wstręt miał do ciebie.

I ty obrażasz teraz matkę swoją? Matkę, która by oddała rok własnego szczęścia, żeby okupić jedną godzinę twego bólu? Która by zebrała dla ciebie, gdybyś był głodny, która by się dała zabić, żeby ci ocalić życie.

Słuchaj, Henryku, zapisz sobie dobrze w pamięci te słowa. Wyobraź sobie, że czeka cię w życiu wiele dni okropnych. Najokropniejszym przecie będzie ten, w którym stracisz matkę. Po tysiąc razy, Henryku, kiedy już będziesz mężczyzną, człowiekiem silnym, wypróbowanym we wszystkich burzach życiowych, uczujesz niezwalzone pragnienie, żeby usłyszeć jej drogi głos i ujrzeć jej otwarte ramiona, i rzucić się w nie z płaczem jak biedne dziecko bez opieki i podpory. Z jakimże bólem wspomnisz wtedy każdą kroplę goryczy, jakąś ją napoił! Z jakimże wyrzutem policzysz je wszystkie, nieszczęsny! Bo nie spodziewaj się radości w życiu, jeśli zasmucisz swą matkę. Będziesz żałował, będziesz wołał jej przebaczenia, będziesz czcił jej pamięć – daremnie! Sumienie twoje nie da ci spokoju. Jej słodka, dobra twarz ukazywać ci się będzie z wyrazem smutku i wyrzutu, które ci duszę na tortury wezmą.

Wiedz, Henryku, że uczucie synowskie jest najświętszym z uczuć. Biada temu, który je podepce.

Morderca, który miłuje swą matkę, ma jeszcze coś szlachetnego w sercu, a najślawniejszy z ludzi, który jej zadaje boleść i obraża ją, jest tylko nikczemnym stworzeniem. Niechże więc z ust twoich nie wyjdzie nigdy twarde słowo przeciw tej, która ci dała życie. A gdyby kiedykolwiek jeszcze wyjść miało, nie strach przed gniewem ojca, ale poryw serca niech cię do nóg jej rzuci, z błaganiem, aby pocałunkiem przebaczenia starła z twego czoła haniebną zmazę niewdzięczności.

Kocham cię, synu mój; ty jesteś najdroższą nadzieją mego życia; ale wolałbym widzieć cię umarłym niżli niewdzięcznym twej matce. Bądź zdrow! A przez czas jakiś nie przychodź do mnie z pieszczotą; nie mógłbym teraz odwzajemnić ci jej z całego serca.

*Twój ojciec.*

## Mój kolega Coretti

13. niedziela

Ojciec mi już przebaczył, ale jeszcze jestem i tak trochę smutny. Więc mama posyła mnie ze starszym synem odźwiernego, żebym się przeszedł i rozerwał trochę.

W połowie alei przechodząc dziś koło wozu, który się zatrzymał przed jakimś sklepem, posłyszałem, że ktoś woła na mnie po imieniu. Oglądam się, a to Coretti, kolega szkolny, w swojej bluzie brunatnej i w swoim kapeluszu z kociej sierści, spocony i wesół, dźwiga dużą wiązkę drzewa na plecach. Człowiek stojący na wozie podawał mu naręcza drzewa, a on je brał i zanosił do sklepu swojego ojca, gdzie je z pośpiechem ciskał na kupę.

– Co ty robisz, Coretti? – pytam.

– Nie widzisz to? – odrzekł wyciągając ręce po nowe brzemie – przepowiadam lekcję!

Rozśmiałem się. Ale on mówił to zupełnie serio i wzięwszy naręcza drzewa zaczął recytować pośpiesznie z pamięci:

– Nazywamy koniugacjami<sup>42</sup> słowa te odmiany, jakim ono podlega według liczby i osoby... – po czym cisnąwszy drzewo na kupę: – i według czasu, do którego się odnosi działanie...

Wtem odwrócił się ku wozowni po nową wiązkę i kończył:

–... oraz według sposobu, jakim się działanie wykonywa.

Poznałem! Była to lekcja gramatyki na jutro zadana.

– Co chcesz? – zawołał Coretti. – Korzystam z czasu, jak mogę. Ojciec mój poszedł po zakupna<sup>43</sup> ze służącym, matka chora, więc sam znoszę drzewo, a tymczasem powtarzam gramatykę. Trudna lekcja dziś wypadła... Nie mogę jakoś wbić jej sobie w głowę! – Tu zwrócił się do woźnicy: – Ojciec powiedział, że o siódmej tu będzie i wtedy wam zapłaci.

Wóz odjechał.

– Wejdz na chwilę do naszego sklepu! – rzekł do mnie Coretti.

Wszedłem. Była to duża izba, pełna wiązek drzewa i chrustu, z prawej strony od wejścia stała waga.

– Ciężki był dziś dzień – zaczął żywo Coretti. – Powiadam ci, że musiałem odrabiać lekcje po kąseczku, po tycim... Ledwom zaczął pisać zadanie, przybyli ludzie kupować. Ledwom się zabrał znowu do roboty, aż ci masz, zajeżdża ten z wozem. Dziś rano byłem już dwa razy na placu Weneckim, tam gdzie jest targ drzewny. Nóg nie czuję, powiadam ci, a ręce, jakby mi popuchły... – Tak mówiąc podmiatał wielkim miotliskiem zeschłe liście i wióry, które zaścielały kamienną podłogę izby.

– A gdzie ty odrabiasz lekcje? – spytałem ciekawie.

– Z pewnością nie tu! – odrzekł ze śmiechem. – Pójdź, zobacz!

I zaprowadził mnie do małej stancyjki za sklepem, która była zarazem kuchnią i jadalnią, tam stał w kącie stół, a na nim książki, kajety i owo rozpoczęte zadanie.

– Patrz! Właśnie zostawił drugą odpowiedź w powietrzu... – I zaczął czytać: – „Ze skóry robi się obuwie, rzemienie”; teraz dodam jeszcze: „tłumoki... walizy...” – Tu chwycił pióro i zaczął pisać swoim pięknym, kaligraficznym pismem.

Ale w tej samej chwili dał się słyszeć głos wołający w sklepie:

– Jest tam kto? Cóż to, nie ma nikogo?

<sup>42</sup> koniugacja – odmiana czasownika przez osoby, liczby i rodzaje. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> zakupna – dziś: zakupy. [przypis edytorski]

– Jestem! Idę! – Odkrzyknął Coretti, skoczył do pierwszej izby, odważył drzewo, wziął za nie pieniądze, pobiegł do księgi z rejestrami, zapisał kupno i powrócił mówiąc: – Zobaczymy, czy mi się uda dokończyć to zdanie. – I pisał dalej – „... worki podróżne, tornistry dla żołnierzy...”

Wtem krzyknął: – Kawa kipi... – i pobiegł do piecyka, żeby odstawić imbryk od ognia.

– To kawa dla mamy – rzekł wtedy – więc muszę się starać, żeby była dobra. Zaczekaj chwilkę, to ją zaniesiemy. Mama się bardzo ucieszy, jak ciebie zobaczy. Już cały tydzień leży w łóżku... Aj, do licha! Zawsze sobie palce poparzę tym imbrykiem! Co by tu jeszcze dodać do tych tornistrów dla żołnierzy? Chciałbym jeszcze coś, ale już nie wiem. Pójdźmy do mamy!

Otworzył drzwi i weszliśmy do drugiej małej stancyjki; tam w dużym łóżku leżała matka Corettiego z głową obwiązaną białą chusteczką.

– Przyniosłem kawę, mamó! – rzekł Coretti podając filiżankę. – A to jest mój kolega szkolny...

– Ach, dobry panicz – przemówiła kobieta – przyszedł odwiedzić chorą, nieprawdaż?

Tymczasem Coretti poprawił matce poduszki, ułożył kołdrę, rozdmuchał ogień na kominku i spędził kota ze skrzynki.

– Nie trzeba ci jeszcze, mamó, czego? – zapytał potem odbierając pustą filiżankę. – A wzięła mama lekarstwo? Jakby brakło, to zaraz do apteki skoczę. Drzewo złożone. O czwartej nastawię mięso na rosół, jak mama mówiła, a jak przyjdzie młeczarka, dam jej osiem soldów. Niech się mama nie turbuje<sup>44</sup>! Wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję ci, synku! – odrzekła kobieta. – Biedne drogie chłopczysko moje! O wszystkim pamięta!

Poczęstowała mnie kawałkiem cukru, a Coretti pokazał mi obrazek, fotografię swego ojca w mundurze wojskowym i z medalem za waleczność, który dostał w 66 roku służąc pod księciem Humbertem. Ta sama twarz, co i u syna, z tymi żywymi oczyma i z tym samym wesołym uśmiechem.

Powróciliśmy do kuchni.

– Mam! – krzyknął Coretti i pobiegłszy do stolika dopisał w swoim kajecie: „... a także uprzęż na konie”. – Tak! – rzekł kładąc pióro. – Resztę dokończę wieczorem. Może jeszcze co dopiszę później. Szczęśliwyś ty, że możesz się uczyć, kiedy chcesz, i jeszcze masz czas iść na spacer!

I ciągle wesół i żywy, pobiegł do sklepu i kładąc większe kawałki drzewa na kozłach przerzynał je w pół piłą i mówił:

– To moja gimnastyka! Prawie to samo, co „ręce naprzód”, „ręce w tył”! Chciałbym, żeby ojciec zastał już drzewo porżnięte, jak wróci. Byłby kontent. To tylko bieda, że jak rżnę drzewo, to potem ręka mi się trzęsie, a moje t i moje l wyglądają jak małe wężyczki. Powiada nauczyciel: „Coś ty, chłopcze, robił, że ci się tak ręka trzęsie?” – „Ja, nic, panie nauczycielu! Fechtowałem się!!...” Co tam, wszystko głupstwo, byle mama była zdrowa! Dziś jej lepiej, dzięki Bogu! A gramatyki nauczę się jutro rano, jak tylko świtać zacznie... A otóż wóz ze szczapami! Do roboty!

Jakoż przed sklepem zatrzymał się wóz naładowany szczapami. Coretti wybiegł rozmówić się z woźnicą i powrócił zaraz.

– Nie mogę ci już dotrzymać towarzystwa – rzekł mi. – Do widzenia jutro! Dobrześ zrobił, żeś mnie odwiedził! Życzę ci miłej przechadzki! Ty, szczęśliwczu!...

I uściskawszy mi rękę, chwycił pierwszą szczapę i zaczął się uwijać między wozem a sklepem, z tą swoją kwitnącą twarzą pod beretem z kociej sierści, tak żwawo, że aż patrzeć miło.

„Szczęśliwczu!” – powiedział do mnie... Ach, nie, Coretti, nie! Ty jesteś daleko szczęśliwszy, bo się nie tylko uczysz, ale i pracujesz, bo jesteś lepszy, sto razy lepszy i więcej wart ode mnie, mój drogi kolego!

<sup>44</sup> *turbować się* (daw.) – martwić się. [przypis edytorski]

## Nasz dyrektor

18. piątek

Bardzo rad był Coretti dzisiejszego ranka, bo na egzamin miesięczny przyszedł jego nauczyciel z drugiej, Caotti, olbrzym z ogromną kędzierzawą czupryną, z wielką czarną brodą, z wielkimi czarnymi oczyma i z głosem tak srogim, jakby z armat bił. Straszy on zawsze chłopców, że ich w kawałki porąbie, że ich za kark weźmie i do kwestury<sup>45</sup> poprowadzi, i okropnie srogie robi miny, ale żadnego nigdy nie trąci, a nawet uśmiecha się pod wąsem nie wiedząc sam o tym. Z Caottim jest nauczycieli ośmiu, licząc w to małego suplenta<sup>46</sup>, który jeszcze wąsów nie ma, sam na uczniaka wygląda.

Jest nauczyciel z czwartej, kulawy, poobwijany wełnianym szalikiem; zawsze go coś boli, a tych bólów to się nabawił wtedy, jak był nauczycielem na wsi i mieszkał w szkole strasznie wilgotnej, gdzie na ścianach woda marzła.

Jest i drugi nauczyciel z czwartej, stary, siwiuteńki, który dawniej był nauczycielem niewidomych.

Jest znów jeden wyelegantowany, w okularach, z jasnymi faworytami<sup>47</sup>, którego nazywają adwokacikiem, bo kończył prawo i dostał już dyplom i jeszcze napisał książkę: „Jak trzeba listy pisać”. Zupełnie za to odmienny jest ten, który uczy gimnastyki i ma minę żołnierską. Bił się pod Garibaldim<sup>48</sup>, ma na szyi bliznę od cięcia szablą z bitwy pod Milazzo<sup>49</sup>.

Jest wreszcie dyrektor, wysoki, łysy, w złotych okularach, z siwą spadającą mu na piersi brodą, czarno ubrany i zawsze zapięty aż do ostatniego guzika. Bardzo on jest dobry dla chłopców; a kiedy który co zbroi, a zawołają go do kancelarii, a on idzie cały drżący, nigdy nie krzyknie na takiego, ale go bierze za rękę i tak tłumaczy, że nie powinien źle czynić, że trzeba złego postępkowi żałować i przyobieczać poprawę, a mówi tak łagodnie, takim dobrym głosem, że każdy wychodzi z czerwonymi oczami i bardziej zawstydzony, niż gdyby ukarany został.

Biedny dyrektor zawsze jest pierwszy na miejscu od samego rana, oczekując uczniów, rozprawiając się z rodzicami, a kiedy nauczyciele już dawno do domu idą, on jeszcze koło szkoły chodzi i patrzy, czy się chłopcy nie wieszają u dorożek, u wozów, czy się nie wałęsają po ulicy, nie zaczepiają kogo, czy nie sypią do tornistrów piasku, nie kładą kamieni. A gdzie się ukaże zza węgła jego postać wysoka i ciemna, tam zaraz się rozbiegają gromadki chłopców grających w piłkę i puszczających latawce, a on im tylko z daleka pogrozi, z tą swoją twarzą smutną a przyjazną. Matka moja mówi, że nikt go nie widział śmiejącym się od czasu, jak mu umarł syn, który był ochotnikiem w armii, i że zawsze ma przed oczyma jego portrecik na stole w kancelarii. I że po tym nieszczęściu chciał miejsce porzucić i już podanie o dymisję do magistratu napisał i na tym stoliku je gotowe miał, ale odkładał je z dnia na dzień, bo mu żal było rozstać się z uczniami. Ale jednego dnia już się zdecydował, a ojciec mój, który był wtedy w dyrekcji, rzekł:

– Jaka szkoda, panie dyrektorze, że nas pan opuszcza!

A wtem wszedł jakiś pan, ażeby zapisać syna, który przechodził do naszej sekcji z innej, bo rodzice jego zmienili mieszkanie. Zobaczywszy chłopca dyrektor aż się ze zdziwienia cofnął, popatrzył chwilę na chłopca, potem na portrecik przed sobą stojący, potem znów na chłopca, którego przyciągnąwszy między kolana go wziął i twarz jego podniósł ku sobie. A ten chłopiec był zupełnie

---

<sup>45</sup> *kwestura* (z łac.) – tu: policja. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *suplent* (z łac.) – zastępca profesora gimnazjalnego, praktykant. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *faworyty* (daw.) – baczki. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *Garibaldi, Giuseppe* (1807–1882) – rewolucjonista włoski, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *Milazzo* – miasto i twierdza na Sycylii, zdobyte przez Garibaldiego 20 lipca 1860 r. [przypis edytorski]

podobny do jego zmarłego syna. Więc powiedział: „Dobrze”. Zapisał ucznia, pożegnał tego pana i tego chłopca i zamyślił się głęboko. A wtedy ojciec mój powtórzył:

– Jaka szkoda, że nas opuszczasz, dyrektorze!

A on wziął swoje podanie o dymisję, rozdarł na dwoje i rzekł:

– Zostaję!

## Obrońca garbuska

23. środa

Nelli, biedny garbusek, nosi zawsze długi, czarny ceratowy fartuch.

Matka jego, mała pani, blondynka, czarno ubrana, przychodzi zawsze na „finis” i żeby nie pchał się między innymi, zatrzymuje go i pieści. Z początku, ponieważ jest tak nieszczęśliwy, że ma garb, wielu chłopców naigrawało się z niego i trącało go w plecy tornistrami. Ale on to znosił cierpliwie i nic matce swojej nie mówił, gdyżby się martwiła, że jej syn jest pośmiewiskiem kolegów. Więc oni mu dokuczali, a on milczał i płakał oparłszy czoło o ławkę.

Aż raz jak nie skoczy Garrone ze swego miejsca, jak nie krzyknie:

– Pierwszemu, który mi się tknie Nellego, dam przez łeb tak, że trzy kozły wywinie w powietrzu!

Zrobiło się cicho. Franti tylko na groźbę nie zważał.

Jakoż Garrone zdzielił go tak, że kochaneczek wywinął trzy kozły, a od tego czasu nikt nie tknął garbuska. Nauczyciel też posadził go w tej samej ławce, gdzie Garrone siedział. Okropnie się ten Nelli przywiązał do tego Garronego. Nie wyszedł nigdy, żeby nie powiedział: „Bądź zdrow, Garrone!”, a Garrone też tak samo. Jak Nelli upuścił pod ławką książkę lub pióro, zaraz się Garrone schylał, żeby się garbusek nie męczył, i podnosił mu je. I jeszcze mu pomagał wszystko w tornistrze poskładać i płaszcz włożyć.

Bardzo go za to Nelli kocha, patrzy w niego ciągle, a jak nauczyciel pochwali Garronego, tak się cieszy, jak gdyby jego samego pochwalił. Teraz musiał opowiedzieć Nelli wszystko swojej matce i o tych dokuczaniach dawnych, i o tym, co wycierpiał, i jak się za nim ujął jeden kolega, i jak on go za to kocha. Bo oto co się zdarzyło dziś rano.

Nauczyciel posłał mnie do dyrektora, żebym mu zaniósł program lekcji, na jakie pół godziny przed „finis”, i właśnie byłem w kancelarii, kiedy weszła pani z jasnymi włosami i czarno ubrana, matka Nellego, i rzekła:

– Panie dyrektorze, czy jest w klasie mego syna chłopiec, który się nazywa Garrone?

– Jest – odpowiedział dyrektor.

– Czy nie zechciałby pan z łaski swojej przywołać go tutaj, bo mam mu słówko do powiedzenia?

Dyrektor zawołał pedela i posłał go do klasy, a za chwilę stanął w progu Garrone ze swoją roztarganą, wielką głową i z dość głupią miną. Zobaczywszy go jednak pani podbiegła ku niemu, objęła za szyję i obsypując pocałunkami jego wielką głowę, mówiła:

– Tyżeś to, Garrone, przyjaciel mego synka, obrońca mego biednego dziecka?! Tyżeś to, drogi, poczciwy chłopcze?... Tyżeś to?...

Po czym gwałtownie zaczęła szukać czegoś po kieszeniach i w woreczku, a nie znalazłszy nic, zerwała z szyi łańcuszek z krzyżykiem i włożyła go na szyję Garronego, pod krawatkę, mówiąc:

– Weź go i noś, na pamiątkę ode mnie, drogi chłopcze! Na pamiątkę od matki Nellego, która ci dziękuje i błogosławi cię.

## Prymus naszej klasy

25. piątek

Garrone zdobył sobie przywiązanie, Derossi zaś uwielbienie wszystkich. Wziął pierwszy medal i ciągle będzie prymusem, także i w tym roku; nikt nie może ubiegać się z nim o pierwszeństwo, wszyscy przyznają mu wyższość we wszystkich przedmiotach.

Jest pierwszy w arytmetyce, w gramatyce, w ćwiczeniach, w rysunku; w lot wszystko pojmuje, ma zadziwiającą pamięć, wszystko mu się udaje bez żadnego trudu, a nauka zdaje się być dla niego zabawą.

Wczoraj powiedział mu nauczyciel tak:

– Wielkie dary otrzymałeś od Boga, o to się więc tylko staraj, żebyś ich nie zmarnował.

A przy tym postać piękna, wysoka i te śliczne blond włosy w lokach całe! A tak jest lekki, zręczny, że przeskakuje ławkę, jedną tylko ręką oparłszy się o nią. Umie się już nawet fechtować<sup>50</sup>.

Ma lat dwanaście, jest synem przemysłowca, ma niebieską bluzę ze złoconymi guzikami, zawsze rześki, wesół, uprzejmy dla wszystkich, przy egzaminach pomaga jak może, i nikt nigdy nie ośmielił się być dla niego niegrzecznym lub powiedzieć mu jakie brzydkie słowo.

Nobis tylko i Franti patrzą na niego krzywo, a Vatini zazdrości ukryć nie może. Ale on sobie z tego nic nie robi.

Wszyscy się do niego uśmiechają i biorą go za rękę albo za ramię, kiedy idzie między ławki odbierać ćwiczenia, z tym wdzięcznym ruchem, który mu jest właściwy. Daje kolegom dzienniki ilustrowane, rysunki, wszystko, co sam dostanie w domu. Kalabryczykowi zrobił śliczną mapkę Kalabrii. A rozdaje, co ma, śmiejąc się niedbale, jak wielki pan, i nie wyróżniając nikogo.

Nie sposób nie zazdrościć mu i nie czuć się czymś mniejszym od niego.

I ja mu, tak samo jak Vatini, zazdrozczę i nawet czuję jakąś niechęć ku niemu, kiedy jeszcze ślęczę nad lekcjami w domu, a pomyślę, że on już wszystko odrobił jak najlepiej i bez żadnego trudu. Ale gdy przyjdę do szkoły i zobaczę, jaki jest śliczny, wesoły, zwycięski; posłyszę, jak na pytania nauczyciela odpowiada szczerze, pewny siebie, i jaki dla wszystkich greczny, i jak go wszyscy lubią, wtedy cała ta gorycz, cała ta niechęć znika z mego serca i wstyd mi jest, że ich doznawał. Chciałbym wtedy być ciągle przy nim, blisko niego. Chciałbym z nim przejść całą szkołę razem; obecność jego i głos dodają mi otuchy, chęci do pracy, radości.

Nauczyciel dał mu do przepisania opowiadanie miesięczne, które ma być jutro czytane: „Mała wideta lombardzka”. Przepisał je dziś rano i był wzruszony tym bohaterским wypadkiem: twarz miał rozpaloną, oczy wilgotne i usta drżące. A kiedym tak patrzył na niego, jakże mi się pięknym i szlachetnym wydał. Jakże chętnie powiedziałbym mu szczerze, prosto w oczy:

„Derossi, tyś we wszystkim więcej wart ode mnie! Ty jesteś prawdziwym mężczyzną w porównaniu ze mną! Szanuję cię i podziwiam!”

---

<sup>50</sup> fechtować – walczyć na broń białą. [przypis edytorski]

## Mała wideta<sup>51</sup> lombardzka

Opowiadanie miesięczne

26. sobota

W 1859 roku, podczas wojny o oswobodzenie Lombardii, wkrótce po bitwie pod Solferino<sup>52</sup> i San Martino, w której Francuzi i Włosi zwyciężyli Austriaków, w piękny poranek czerwcowy mały oddział konnicy z Saluzzo jechał stępą<sup>53</sup> samotną ścieżyną w kierunku pozycji nieprzyjacielskich, bacznie rozglądając się po okolicy.

Oddział prowadził oficer i wachmistrz, a wszyscy jeźdźcy patrzyli daleko przed siebie wyteżonym wzrokiem, w zupełnym milczeniu, spodziewając się lada chwila ujrzeć poprzez zarośla bielejące mundury austriackie. Tak przybyli do małego wiejskiego domku, otoczonego wierzbami; przed nim stał dwunastoletni może chłopczyna strugając nożem gałązkę, z której sobie widocznie chciał gładki kij zrobić. Z otwartego okna domku powiewał szeroki trójkolorowy sztandar, ale wewnątrz nie było nikogo.. Zapewne mieszkańcy wywiesiwszy chorągiew uciekli w obawie przed Austriakami.

Ujrawszy kawalerzystów, chłopiec odrzucił gałąź i zdjął czapkę. Był to piękny chłopczyna z ogorzałą twarzą, z dużymi niebieskimi oczyma, z jasnymi długimi włosami, a przez otwartą koszulę widać było nagie jego piersi.

– Co ty tu robisz? – zapytał oficer zatrzymując konia.

– Dlaczego nie uciekłeś razem z rodzicami?

– Ja nie mam rodziców – odrzekł chłopczyna. – Jestem podrzutkiem, sierotą, co mi kto każe, to robię, a zostałem tutaj, żeby widzieć wojnę.

– A nie widziałeś ty Austriaków?

– Nie. Od trzech dni nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, zeskoczył z konia i, zostawiając swoich żołnierzy jak byli, zwróconych w stronę nieprzyjaciela, wszedł do domu, a stamtąd wydrapał się na dach. Dom był niski. Z dachu widać było tylko mały kawałek najbliższej okolicy.

Oficer znów myślał przez chwilę patrząc to na otaczające domek drzewa, to na swoich żołnierzy, po czym nagle zapytał chłopca:

– Słuchaj, bąku! Masz ty dobre oczy?

– Ja? – odrzekł malec. – Ja o wiorstę<sup>54</sup> wróbla dojrzę...

– A potrafiłbyś wyleźć na czubek tego drzewa?

– Na czubek tego drzewa? Ja?... Za pół minuty wyleżę!

– A umiałebyś mi powiedzieć, co stamtąd widać? O tam! Chmury kurzawy, błyszczące bagnety, konie?...

– Co bym zaś nie miał umieć.

– A co chcesz za tę usługę?

– Co ja chcę? – powiedział chłopiec i uśmiechnął się.

– Nic nie chcę. Co mam chcieć! A zresztą, dla Szwabów to bym tego za żadne skarby nie zrobił.

Ale dla naszych! Przecie ja jestem Lombardczyk.

– Dobrze. Włazże prędko!

– Zaraz, tylko trzewiki zdejmę...

<sup>51</sup> *wideta* (daw.) – czujka. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *Solferino* – bitwa z 24 czerwca 1859, w której siły francusko-włoskie odniosły zwycięstwo nad Austriakami. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *stępa* – określenie najwolniejszego chodu konia. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *wiorsta* – dawna rosyjska jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

Zdjął trzewiki, ścisnął pasek od spodni, rzucił czapkę w trawę i objął pień wierzby.

– Uważaj!... – krzyknął oficer chcąc go powstrzymać, jak gdyby zdjęty nagłym jakimś strachem.

Chłopiec obrócił się i spojrzał pytająco swymi pięknymi niebieskimi oczyma.

– Nic, już, nic – rzekł oficer. – Wyłaź dalej.

Chłopak wdrapywał się jak kot na drzewo.

– Patrzeć przed siebie! – krzyknął wtedy oficer na swoich żołnierzy.

W parę minut był już malec na samym wierzchołku. Uczepiony u samego czuba, stał pośród gęstwiny liści, lecz z piersią odkrytą, a słońce tak promiennie biło w jego jasną głowę, że była jak gdyby złota. Oficer zaledwie mógł go dojrzeć, tak się na tej wyżynie maleńki wydawał.

– Prosto przed siebie patrz i daleko! Jak najdalej możesz! – krzyknął ku niemu.

Dosłyszał chłopak i żeby lepiej widzieć puścił się prawą ręką drzewa i do czoła ją od słońca przystawił.

– Co tam widzisz? – zapytał oficer.

Pochylił się chłopak nieco ku niemu i osłoniwszy ręką usta z jednej strony, żeby głos łatwiej szedł, odpowiedział:

– Dwóch ludzi konnych na wielkim gościńcu.

– Daleko?

– Będzie z pół mili.

– Ruszają się?

– Nie. Stoją.

– I co jeszcze widzisz? – zapytał oficer po chwili milczenia.

– Patrz teraz w prawo!

Chłopiec odwrócił się w prawo, po czym rzekł:

– Niedaleko cmentarza, pomiędzy drzewami coś błyszczący... Coś jakby bagnety...

– A ludzi widzisz?

– Nie. Pewno się w zbożu skryli.

Wtem dał się słyszeć świst kuli, który przesywszy wysoko powietrze, daleko gdzieś poza domem skonał.

– Złaź, chłopcze! – krzyknął oficer. – Dojrzeli cię! Nie chcę już nic więcej! Złaź zaraz!

– Kiedy ja się nie boję!... – odkrzyknął malec.

– Złaź! – powtórzył oficer. – A co widzisz na lewo?

– Na lewo?

– Tak, na lewo!

Chłopiec obrócił głowę w lewą stronę, w tejże chwili drugi świst ostrzejszy i niżej przesył powietrze. Chłopak wstrząsnął się cały.

– Do kaduka! – zawołał. – Mierzą we mnie jak w drozda... Kulka przeleciała tuż, tuż...

– Złaź! – krzyknął rozkazująco zirytowany oficer.

– Zaraz zleżę! – odrzekł chłopiec. – Tylko żem się o gałąź zahaczył, proszę pana. Na lewo, chciał pan wiedzieć?...

– Na lewo, ale złaź! – krzyknął oficer.

– Na lewo – zawołał chłopiec odwracając się piersią w tę stronę – tam gdzie kaplica, zdaje mi się, że widzę...

Trzeci świst wściekle zatargał powietrzem i nagle chłopak począł na dół lecieć chwytając się gałęzi, po czym spadł głową na dół i z otwartymi ramionami.

– Przekleństwo! – krzyknął oficer skoczywszy ku niemu.

Chłopiec leżał na wznak, z szeroko odrzuconymi rękami, nieprzytomny. Krew cienkim pasemkiem sączyła się po lewej stronie piersi. A już wachmistrz i dwaj żołnierze skoczyli z koni. Schylił się oficer, rozerwał chłopcu koszulę – kula karabinowa przeszła mu lewe płuco.

- Nie żyje! – krzyknął oficer.
- Owszem, żyje! – odrzekł stary wachmistrz.
- Ach, biedny, dzielny chłopcze! – wołał oficer. – Odwagi! Odwagi!

Ale gdy tak mówił „odwagi” i przyciskał mu swoją chustką ranę, chłopczyna przymknęła oczy i opuściła głowę. Umarł.

Zbladł oficer i patrzył na niego przez chwilę, potem mu głowę miękko na trawie położył, podniósł się, stanął nad nim i znów patrzył. Wachmistrz i dwaj żołnierze patrzyli także na chłopca stojąc nieruchomo. Inni zaś zwróceniem byli ku nieprzyjacielowi.

- Biedny chłopczyna! Biedne, dzielne dziecko! – powtarzał oficer smutnie.

Po czym zbliżył się do domu, wziął z okna trójkolorową chorągiew i okrył nią jak całunem małe nieżywe ciało, zostawiając odsłoniętą twarz tylko. Wachmistrz położył przy zmarłym jego trzewiki, czapkę, kijek na pół ostrugany i nożyk.

Stali tak jeszcze nad nim przez chwilę w milczeniu, po czym oficer zwrócił się do wachmistrza i rzekł:

– Przyślemy po niego ambulans wojskowy. Zginął jak żołnierz. Pochowają go żołnierze! Będzie miał pogrzeb wojskowy!

To powiedziawszy przesłał ręką pocałunek od ust umarłemu i krzyknął:

- Na koń!

Skoczyli wszyscy na siodła, oddział się połączył i ruszył drogą.

A w kilka godzin później mały poległy odbierał honory wojskowe.

O zachodzie słońca posunęły się przednie strażnice włoskie szeroko rozwiniętym frontem ku nieprzyjacielowi, a na drodze, którą przebiegał z rana oddział kawalerii, posuwał się dwoma szeregami wielki batalion bersalierów<sup>55</sup>, którzy kilka dni przedtem mężnie zdobyli Wzgórze Św. Marcina.

Wiadomość o śmierci chłopca doszła już tych walecznych żołnierzy, zanim opuścili swój obóz. Ścieżyna biegnąca wzdłuż jasnego strumienia o kilka tylko kroków oddalona była od małego domku.

Więc kiedy pierwsi oficerowie tego batalionu zobaczyli małego trupka, jak leżał u stóp drzewa, przykryty trójkolorowym sztandarem, oddali mu pokłon szpadami; jeden zaś z nich schylił się nad brzeg strumyka, zerwał parę kwiatów, których tam było pełno, i rzucił zmarłemu. Tak zaraz inni bersalierzy, jak szli, tak się schylali, rwali kwiaty i rzucali je tak samo. W kilka minut ciało chłopczyny było nimi zupełnie pokryte, a oficerowie i żołnierze idąc tak mówili:

- Brawo, mały Lombardczyku!...
- Żegnaj, chłopczyno!
- Niech żyje sława!
- Żegnaj, mały żołnierzu!...

Wtem jeden z oficerów rzucił mu swój medal zaślugi. Inny znów pochylił się i ucałował zimne czoło chłopca. A kwiaty padały ciągle na bosa nożyny, na piersi skrwawione, na jasną główkę jego.

A on jak gdyby spał na trawie, otulony w sztandar, z tą białą twarzą, cichy, uśmiechnięty... właśnie jak gdyby czuł biedny chłopczyna tę pośmiertną sławę i jak gdyby był rad, że życie oddał za Lombardię swoją.

---

<sup>55</sup> bersalierzy – oddziały specjalne piechoty włoskiej, istniejące od 1836 r. [przypis edytorski]

## Ubodzy

29. wtorek

Dać życie za ojczyznę, jak mały Lombardczyk, wielka to zasługa; ale nie gardź i małymi zasługami, synu. Dziś rano, idąc przede mną, gdyśmy wracali ze szkoły, przeszedłeś koło ubogiej kobiety, która trzymała na kolanach blade, mizerne dziecko i która cię o jałmużnę prosiła. Spojrzałeś na nią i nie dałeś jej nic, choć miałeś w kieszeni pieniądze.

Słuchaj, dziecko! Nie przyzwyczajaj się przechodzić obojętnie mimo<sup>56</sup> nędzy, która rękę wyciąga do ciebie; a tym bardziej mimo matki, która o grosz dla dzieciątka prosi. Pomyśl tylko, że może to maleństwo było głodne, pomyśl o trosce tej biednej kobiety. Pomyśl, jakby własnej twojej matce serce łkało w piersiach, gdyby ci musiała powiedzieć kiedy: „Henryku, nie mam dziś nic dla ciebie”. Nawet kawałek chleba... Pomyśl tylko!

Kiedy dam grosz żebrakowi, on powie: „Niechaj Bóg da zdrowie pani i jej dzieciom!” – nie uwierzysz, jaką słodycz mam w sercu po tych słowach i jaką wdzięczność dla tego ubogiego czuję. Zdaje mi się, że naprawdę życzenie to zachowa mi zdrowie na długo, i rada wracam do domu, i myślę: „Ach, ten biedak dał mi daleko więcej, niżeli ja jemu!”

Czyń więc, moje dziecko, tak, żebym czuła niekiedy, że ty sam wywołujesz i sprowadzasz na mnie taką dobrą wróżbę! Wyjmij od czasu do czasu grosz jaki z twego małego woreczka i daj go to starcowi bez opieki, to matce bez chleba dla dzieci, to dziecku sierocie...

Ubodzy cieszą się bardzo z jałmużny dzieci, bo ona ich nie upokarza, a i dlatego, że dzieci są jakby podobne do nich, bo też nie posiadają nic swego. Wszak widzisz, jak zawsze pełno jest ubogich przed szkołą.

Jałmużna dorosłych jest czynem litości, ale jałmużna dziecka jest i czynem litości, i jakby pieszczotą. Rozumiesz mnie? To jak gdyby z jego ręki upadł razem i grosik, i kwiatek.

Pamiętaj, że tobie nie zbywa na niczym, a im wszystkiego brakuje, że ty pożądasz szczęścia, a oni – tego tylko, by nie umrzeć z głodu. Pomyśl, jaka to zgroza, że pośród tylu bogactw i pałaców, na ulicach, którymi przejeżdżają karety i przechodzą dzieci w aksamitach, spotkać można kobiety i dzieci nie mające co jeść. Nie mieć co jeść! Boże mój! Nie jestże to straszne?! Tacy chłopcy jak ty, tak samo jak ty dobrzy i roztropni, którzy w pośrodku wielkiego miasta łakną pożywienia jak dzikie zwierzęta w pustyni!

Nigdy już, nigdy więcej, mój Henryku, nie przejdź około żebrzącej matki nie dawszy jej choćby grosika do ręki.

*Twoja matka.*

---

<sup>56</sup> *mimo* (daw.) – obok. [przypis edytorski]

# Grudzień

## Handlarz

1. czwartek

Mój ojciec chce, żebym każdego wolnego dnia zaprosił do nas któregoś z kolegów albo też któregoś odwiedził i żebym się tym sposobem ze wszystkimi bliżej zapoznał. W niedzielę pójdę na spacer z Vatinim, tym elegancikiem, co się raz w raz muska i tak Derossiemu zazdrości. A dziś to przyszedł do nas Garoffi, ten długi, chudy, co to ma nos jastrzębi i takie małe, bystre oczki, że zdają się wszystko na wylot świdrować.

Ten Garoffi ma zwyczaj ciągle liczyć pieniądze, jakie ma w kieszeni. Umie też nadzwyczaj prędko rachować na palcach, dodawać, odejmować i bez tabliczki każde mnożenie robi. Jest on synem kupca towarów kolonialnych i bardzo oryginalnym typem, powiada ojciec. Zbiera grosz do grosza, ma już własną książeczkę oszczędności w naszej szkolnej kasie. Jest skąpy, nie wyda nigdy na nic grosza, a upadnie mu szeląg pod ławkę, to go będzie tygodniami szukał, dopóki nie znajdzie. „Czyni jak sroka” – powiada Derossi. – Wszystko, co znajdzie: spisane pióra, zużyte marki<sup>57</sup>, opałki świec, wszystko chowa. Od dwóch już lat zbiera marki pocztowe i ma już ze sto sztuk z różnych krajów w dużym albumie, który ma zamiar potem, jak będzie pełny, sprzedać księgarzowi. A tymczasem darmo dostaje od tego księgarza kajety, bo przyprowadza do sklepu chłopców, żeby tam kupowali.

W szkole ciągle handluje; co dzień urządza zamiany, loterie, wyprzedaże, a potem żałuje, że się zamienił, i chce z powrotem odbierać, co jego. Co kupi za dwa grosze, to sprzedaje za cztery. Grywa w piórka, w guziki i nie przegra nigdy. Stare gazety sprzedaje sklepikarzowi z tabaką; ma kajecik, w którym zapisuje wszystkie swoje interesy, a na każdej stronie pełno dodawania i odejmowania.

W szkole uczy się naprawdę chętnie tylko arytmetyki, a jeżeli pragnie dostać medal, to tylko dlatego, żeby mieć wolny bilet wstępu do teatru marionetek.

Mnie on się podoba, bo mnie bawi.

Bawiliśmy się w targ, dostaliśmy ze spiżarni ciężarki i wagi. Nie mogłem się nadziwić, jak on zna cenę wszystkiego, jak wie, co po ile sprzedać, jak się rozumie na wadze i jak zręcznie robi papierowe tutki. Zupełnie jak duży kupiec. Powiada, że jak tylko skończy szkołę, zaraz sklep założy, jakiś zupełnie nowy handel, który sam wymyślił. Bardzo był rad, że mu dałem trochę zagranicznych marek, i powiedział mi od razu, po ile którą płacą kolekcjoniści. Kiedyśmy się bawili, mój ojciec udawał, że czyta gazetę, ale widziałem, że słucha, uśmiecha się i zajmuje nim.

A zawsze ma kieszenie wypchane swoim towarem i przykrywa je swoim długim płaszczem i zawsze jest roztargniony i zaaferowany, zupełnie jak kupiec. Ale najbardziej to mu już na sercu jego marki leżą. Ten zbiór to jego skarb i ciągle o nim mówi, jak gdyby na nim majątek miał zrobić. Koledzy nazywają go sknerą i lichwiarzem<sup>58</sup>. Ja tam nie wiem! Lubię go, bo niejednego się przy nim uczę i zdaje mi się mężczyzną.

Coretti, syn przekupnia drzewa, powiada, że on by tych swoich marek nie dał nawet dla uratowania życia matki. Ale mój ojciec nie wierzy temu.

– Wstrzymaj się jeszcze z sądem o tym chłopcu – rzekł mi. – Prawda, ma on brzydką pasję, ale ma i serce.

---

<sup>57</sup> marka (daw.) – znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> lichwiarz – osoba pożyczająca pieniądze na procent. [przypis edytorski]

## Próżność

### 5. poniedziałek

Byłem wczoraj na spacerze w alejach Rivoli z Vatinim i z jego ojcem. Przechodząc przez ulicę Wielkożółtą zobaczyliśmy Stardiego, tego, co to daje kuksy, gdy mu się przeszkadza w szkole. Stał jak słup przed oknem księgami, z oczyma wlepionymi w kartę geograficzną, i kto wie, odkąd już tam stał, bo on się i na ulicy uczy. Ledwo że nam się odkłonił, ten parobas.

Vatini był ślicznie ubrany i nawet zanadto wystrojony. Miał safianowe<sup>59</sup> buciki czerwono wyszyte, haftowaną kurtkę z jedwabnymi potrzebami, biały filcowy kapelusik i zegarek. A jak się pysznił! Ale mu tym razem na złe próżność wyszła.

Przebiegłszy kawał alei i zostawiwszy daleko za sobą ojca jego, który szedł powoli, zatrzymaliśmy się przy kamiennej ławce, obok jakiegoś skromnie ubranego chłopca, który zdawał się być zmęczony i wypoczywał ze schyloną głową. Jakiś pan, który pewno był jego ojcem, chodził tam i na powrót pod drzewem i czytał gazetę. Usiedliśmy. Vatini usiadł między mną a chłopcem. I zaraz przypomniał sobie, że jest wystrojony, i chciał, żeby go ten chłopiec podziwiał i żeby mu zazdrościł, podniósł więc nogę i rzekł do mnie:

– Widziałeś moje buciki węgierskie?

Nie tyle mu o mnie szło, tylko żeby ten drugi patrzył. Ale chłopiec ani spojrzał nawet. Więc spuścił nogę i pokazując jedwabne szamerowanie<sup>60</sup> swojej kurtki rzekł, spojrzawszy spod oka w stronę chłopca, że mu się to szamerowanie jakoś nie podoba i że chce je zamienić na złote guziczki. Ale chłopiec i na szamerunki nie patrzył.

Zaczął to niecierpliwić Vatiniego, wyciągnął więc zegarek, otworzył go i pokazywał mi kółka i sprężyny. Ale tamten nie podniósł nawet głowy.

– Czy to srebro pozłacane? – spytałem.

– Nie – odrzekł Vatini – to złoto.

– Ale przecież zegarek nie jest cały ze złota – rzekłem na to – musi tam być w nim i srebro.

– Ale nie!... – odpowiedział. I aby zmusić chłopca do patrzenia, podsunął mu zegarek pod samą twarz i rzekł: – Powiedz sam... Spojrzyj! Czy nieprawda, że cały jest złoty?

A chłopiec odpowiedział krótko:

– Nie wiem.

– Ho, ho! – zawołał Vatini. – Jaki pyszny!

A kiedy to mówił, zbliżył się jego ojciec, popatrzył przez chwilę na tego chłopczyka, a potem rzekł porywczo synowi swemu:

– Milcz! – a schyliwszy mu się do ucha dodał: – Jest ślepy!

Vatini skoczył na równe nogi z przestraczem i spojrzał chłopcu w twarz. I prawda! Żrenice jego były szklane, bez wyrazu, bez spojrzenia...

Zawstydził się okropnie Vatini i stał bez słowa spuściwszy oczy na ziemię, po czym wyjąkał:

– Bardzo żałuję... Nie wiedziałem...

Ale niewidomy chłopczyk, który wszystko zrozumiał, rzekł z melancholijnym i miłym uśmiechem:

– Oh, nic nie szkodzi!

Więc tak: Vatini jest próżny, ale nie ma złego serca. Jakoż przez całą powrotną drogę nie roześmiał się ani razu.

---

<sup>59</sup> *safianowy* – wykonany z safianu, tj. z barwionej skóry koziej. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *szamerowanie* – dekoracja ubrania w postaci naszytego na nie sznura. [przypis edytorski]

## Pierwszy śnieg

10. sobota

Bądźcie zdrowe, spaceruj na Rivoli! Zawitał do nas dobry przyjaciel chłopców! Zawitał pierwszy śnieg!

Już od wczorajszego wieczora padał miękkimi, szerokimi płatkami, jak kwiatki białych balsamin. Rozkosz była patrzeć dziś rano w szkole, jak puchem osypał szyby i futryny okien; nawet nauczyciel patrzył i zacierał ręce i wszyscyśmy byli radzi, myśląc o kulach ze śniegu, o ślizgawce i o ogniu na kominku w domu. Jeden tylko Stardi nie dbał, zagłębiając nosem w książce i obiema pięściami podpierając głowę.

A jak było ślicznie przy wyjściu! Jaka zabawa. Wszyscy pędzili przez ulicę krzycząc, nabierając pełne garście śniegu, lepiąc kule i buchając w kupy śniegu jak psiaki w wodę.

Rodzice, którzy czekali przed szkołą, mieli parasole białe, a miejska straż białe kaski, po chwili i tornistry nasze były białe. A my wszyscy jakbyśmy powariowali z uciechy. Nawet Precossi, syn kowala, ten blade, co to się nigdy nie śmieje, rozochocił się jakoś; nawet Robetti, co to ocalił wstępniaka, skakał biedaczysko na swoich kulach.

Kalabryjczyk, który śniegu jak żyje nie widział, ugniół sobie z niego kukielkę i zaczął jeść jakby brzoskwinię. Crossi, syn zieleniarki, natkał go sobie w tornister, a z Mularczyka tośmy o mało nie popękali ze śmiechu, kiedy mój ojciec go zaprosił, żeby do nas jutro przyszedł – bo miał pełną gębę śniegu, nie śmiał wypluć, nie mógł połknąć i stał tak, dusząc się i nie mogąc przemówić ni słowa. I nauczycielki wybiegły z klas pędem, śmiejąc się i żartując. Moja nauczycielka z pierwszej wyższej biegła biedaczka wśród śnieżycy, zakrywając twarz zieloną swoją woalką, mocno kaszląc. A tymczasem ze sto dziewcząt wyleciało z żeńskiego oddziału i piszcząc z uciechy pędziło po tym białym dywanie, a nauczyciele i pedele wszyscy krzyczeli:

– Do domu! Do domu!

Ale widziałem dobrze, że i sami łykali śnieg garściami, bieląc sobie wąsy i brody, i sami śmiali się z tych awantur, któreśmy wyprawiali witając zimę.

\*

Witacie zimę... Ale przecie są dzieci, które nie mają ani płaszców, ani butów, ani ognia w domu. I takich jest tysiące, którzy idą w dzień mroźny daleko ze wsi do szkoły, niosąc w odmrożonych do krwi rękach kawałek drzewa, żeby ogrzać szkolną izbę. I setki szkół są jakby zagrzebane w śniegu, szare i nagie jak piwnice, gdzie dzieci duszą się od dymu, a zębami od zimna szczękają, z przerażeniem patrząc na te białe płatki, które sypią się bez końca a sypią zawiewając drogi i chaty dalekie, grożąc w górach lawiną śmiertelną...

Witacie zimę, chłopcy! Pamiętajcie, że jest tysiące dzieci, którym ona przynosi nędzę i śmierć z sobą.

*Twój ojciec.*

## Mularczyk

11. poniedziałek

Przyszedł dziś do nas Mularczyk w ubraniu przerabianym z ojcowskiego, jeszcze białym od gipsu i wapna. Więcej sobie mój ojciec życzył tych odwiedzin niżeli ja nawet. Bardzo się chłopcem ucieszył. Jak tylko wszedł, zaraz zdjął ten obszarpany kapelusz, cały zresztą mokry od śniegu, i wsadził go w kieszeń; po czym szedł przez pokój tym swoim ociężałym krokiem spracowanego robotnika, który przejął w domu, zwracając to tu, to tam tę swoją twarzyczkę okrągłą jak jabłko, z tym noskiem jak mały kłębuszek, a kiedy wszedł do sali rysunkowej, spojrzął wokół na sprzęty i zatrzymawszy wzrok na obrazku, przedstawiającym Rigoletta, garbatego błazna, zrobił raptem zajęczy pyszczek, jeden z najlepszych, jakie mu się kiedy udały. Nie! Ani sposób wstrzymać się od śmiechu, jak robi zajęczy pyszczek!

Zaczęliśmy się bawić drewniakami; jest niezmiernie zręczny w ustawianiu bram i mostów, które zdają się cudem jakimś trzymać, a stawia je bardzo cierpliwie i z powagą dorosłego człowieka.

Między zbudowaniem jednej bramy a drugiej opowiadał mi o swojej rodzinie. Mieszkają na poddaszu, a ojciec jego chodzi do wieczornej szkoły i uczy się czytać.

Muszą go rodzice kochać, bo choć ubogo ubrany, ale od zimna dobrze zabezpieczony, ciepło odziany, w wełnianym szaliku, który mu na szyi zawiązała matczyna ręka. Powiadał mi, że jego ojciec jest bardzo wysoki, jak olbrzym jaki, i musi się zawsze we drzwiach schylać wchodząc – ale jest dobry i nie woła na niego inaczej jak „zajęczy pyszczek”. A syn taki małuśki.

O czwartej zjedliśmy razem podwieczorek, chleb z powidłami, siedząc na sofie. A kiedyśmy się podnieśli, ojciec nie dał mi wyczyścić tej białej plamy, którą Mularczyk zrobił na sofie swoim zawapnionym odzieniem. Zatrzymał mnie za rękę, a potem sam wyczyścił po kryjomu.

Bawiąc się Mularczyk oberwał guzik u swojej kapoty, ale moja mama zaraz mu go przyszyła; a on się zaczerwienił, stał bardzo zdziwiony i pomieszany widząc ją szyjącą, prawie że oddychać nie śmiał. Potem dostaliśmy do oglądania album z karykaturami, a on, nie spostrzegając tego, sam naśladował wykrzywienia różnych twarzy tak wybornie, że nawet mój ojciec nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Tak był rad wychodząc od nas, że zupełnie zapomniał wyciągnąć z kieszeni swego obszarpanego kapelusza i włożyć go na głowę, a kiedy już był na podwórzu, raz jeszcze zrobił – żeby mi okazać swą wdzięczność – wspaniały zajęczy pyszczek.

Mularczyk nazywa się Antoś Rabucco, ma osiem lat i osiem miesięcy.

\*

Czy wiesz, mój synu, dlaczego nie chciałem, żebyś wyczyścił sofę? Bo gdybyś ją był wyczyścił przy swoim koledze, wyglądałoby to na wyrzut dla niego, że ją zabrudził. A to byłoby źle z dwóch powodów: bo, po pierwsze, nie zrobił tego naumyślnie, a po drugie, bo ją ubielił ubraniem ze swego ojca, który te plamy wapna przyniósł do domu z bardzo ciężkiej pracy. A to, co się z pracy przynosi, nigdy nie jest brudem. Jest kurzem, jest wapnem, jest farbą, jest wszystkim, co chcesz, ale nigdy brudem.

Praca – nie brudzi. Nie mów nigdy o robotniku wracającym od pracy: „Jest brudny” – ale mów: „Ma na swojej odzieży ślady swojej pracy”. – Pamiętaj o tym. A co do Mularczyka, to jest miły chłopczyzna i chciałbym, żebyś go lubił: najpierw dlatego, że jest twoim kolegą, a potem dlatego, że jest synem robotnika.

*Twój ojciec.*

## Śnieżna kula

16. piątek

A śnieg pada i pada!

Zdarzył się brzydki wypadek z tym śniegiem dziś rano przy wyjściu ze szkoły. Gromada chłopców zaledwie wypadłszy na Corso zaczęła ciskać kulami ze śniegu; a śnieg już topniał i kule z niego były ciężkie i twarde jak kamień.

Na trotuarze<sup>61</sup> było dużo ludzi. Jakiś pan krzyknął:

– Na bok, malcy! – a w tej samej chwili dał się słyszeć ostry krzyk po drugiej stronie ulicy i zobaczyliśmy jakiegoś chwiejącego się staruszka, któremu kapelusz spadł z głowy i który sobie twarz rękami zakrył, a jakiś chłopczyk przy nim krzyczał: „Ratunku! Ratunku!” – Zlecieli się ludzie z różnych stron, patrzą, a tego staruszka kula śnieżna trafiła w samo oko.

Chłopcy rozbiegli się jak wiatr. Ja stałem przed drzwiami księgarni, do której wszedł mój ojciec, i zobaczyłem, jak ni stąd, ni zowąd przybiegło tam kilku moich kolegów i też stanęło udając, że patrzą na wystawę książek. Był tam Garrone, ze zwykłą pajdą chleba w kieszeni, Coretti, Mularczyk i Garoffi, ten od pocztowych marek.

Tymczasem koło starca uczynił się tłum, a strażnik miejski i kilku innych ludzi biegało to tu, to tam, grożąc i dopytując się:

– Kto to zrobił? Który z was? Czyś ty rzucił? Gadajcie zaraz, kto taki? – I oglądali chłopcom ręce, który miał mokre od śniegu. Garoffi stał najbliżej mnie. Zdawało mi się, że drży i że ma twarz bladą jak nieżywy.

– Kto rzucił?... Który z was? – krzyczą dokoła nas ludzie. A wtedy posłyszałem, jak Garrone mówił Garoffiemu z cicha:

– Idź, przynaj się! Byłoby podle z twojej strony pozwolić, żeby przytrzymali innego.

– Ale ja nieumyślnie... – odszepnął Garoffi drżąc jak liść na wietrze.

– To nic nie znaczy! Uczyń, coś powinien! – powtórzył Garrone.

– Ale kiedy ja się boję!...

– Nie bój się! Pójdę z tobą.

A tymczasem strażnicy coraz głośniejszymi krzykami:

– Kto rzucił?... Który rzucił?... Okulary mu do oka wbili! Oślepił go! Zbóje!...

Myślałem, że Garoffi w ziemię się zgrzebie.

– Pójdź! – rzekł do niego zdecydowany na wszystko Garrone. – Będę cię bronił!

I chwyciwszy jego ramię popchnął go naprzód podtrzymując go, jak chorego, własnym ramieniem.

Spostrzegli to ludzie, zrozumieli i kilku ich przyleciało z podniesionymi pięściami. Ale Garrone zastawił go sobą i rzekł:

– Cóż to? W dziesięciu idziecie na jednego chłopca?

Więc się zaraz wstrzymali, usunęli się, a strażnik wziął za rękę Garoffiego i zaprowadził go przeciskając się przez tłum do sklepu z makaronem, gdzie opatrywano rannego. Zobaczywszy go teraz z bliska poznałem zaraz, że to był ten stary urzędnik, który w naszym domu, na czwartym piętrze, z synowcem swoim mieszkał.

– Ja nienaumyślnie! – wolał Garoffi, na pół umarły ze strachu. – Ja nienaumyślnie!...

Dwóch czy trzech ludzi popychało go gwałtownie, krzyząc:

– Do ziemi czołem! Proś o przebaczenie!

<sup>61</sup> trotuar (daw., z fr.) – chodnik. [przypis edytorski]

I rzucili go na podłogę. Ale w tejże chwili podniosło go dwoje silnych ramion, dał się słyszeć głos męski:

– Nie, panowie!

Był to nasz dyrektor, który wszystko widział.

– Kiedy miał odwagę przyznać się – mówił dalej – nikt nie ma prawa poniewierać nim!

Wszyscy stanęli cicho.

– Proś o przebaczenie! – rzekł teraz dyrektor do Garoffiego, który wybuchnął płaczem, obejmując kolana starca.

A ten poszukawszy ręką jego głowy pogłaskał go po włosach.

Wtedy odezwały się wzruszone głosy:

– Idź, chłopcze, do domu! Idź! Wracaj!

A ojciec mój pociągnął mnie z dala od tłumu i tak w drodze mówił:

– Henryku! Czy ty w podobnym wypadku zdobyłbyś się na odwagę, żeby spełnić obowiązek i wyznać winę?

– Tak – odpowiedziałem.

A ojciec:

– Dajże mi, synu, słowo uczciwego i honorowego chłopca, że byś to uczynił.

– Daję ci słowo, mój ojczy!

## Nauczycielki

17. sobota

Okropnie się dziś Garoffi bał czekając wielkiej bury od nauczyciela, a tymczasem nauczyciel nie przyszedł, zastępcy także nie było, a do klasy przyszła pani Cromi, najstarsza z nauczycielek, która ma dwóch dorosłych synów, a uczyła czytać i pisać niejedną z tych pań, które teraz odprowadzają swoje dzieci do naszej szkoły. Była smutna dzisiaj, bo jeden z jej synów jest chory.

Jak tylko weszła, zaraz chłopcy zaczęli dokazywać i hałasować. Ale ona, głosem cichym i spokojnym, rzekła:

– Szanujcie moje białe włosy. Nie tylko nauczycielką, ale i matką jestem.

Więc żaden już ani nie pisnął, nawet ten cygańczyk Franti, który tak lubi psocić cichaczem.

A do klasy pani Cromi posłana została panna Delcati, nauczycielka mojego braciszka, a na miejsce panny Delcati ta, którą nazywają „zakonnica” – bo zawsze jest ciemno ubrana i ma głosik tak cichy, że kiedy mówi, to się zdaje, że szepce pacierze.

I trudno pojąć, mówi moja matka, bo taka łagodna jest, taka trwożliwa, z tym swoim słabym, zawsze równym głosem, który ledwo że dosłyszeć można, nie krzyczy, nie gniewa się nigdy, a przecież umie utrzymać uczniów swoich tak, że nawet największe urwisy pochylają głowę, jak tylko im pogrozi palcem, a w klasie jej tak zawsze cicho jak w kościele. To pewno i dlatego także mówią na nią: zakonnica.

Ale ja najlepiej lubię tę małą nauczycielkę z pierwszej niższej, nr 3, która ma twarzyczkę jak róża, dwa śliczne dołeczki w policzkach, nosi duże czerwone pióro na kapelusiku, a krzyżyk bursztynowy na szyi.

Zawsze wesoła i w klasie jej zawsze wesoło. Ciągłe się uśmiecha, krzyczy na swoich malców tym swoim srebrnym głosikiem, co to jakby śpiewa; uderza laseczką w stół i klaszcze w ręce, żeby uczniom nakazać milczenie, a gdy wychodzą, biegnie jak mała dziewczynka to za tym, to za owym, żeby ich ustawić w rzędzie, jednemu podnosi kołnierz, drugiemu zapina płaszczyk, żeby się nie zaziębił który, odprowadza ich do rogu ulicy, żeby się nie pokłócili, błaga rodziców, żeby ich nie karali w domu, przynosi pastylki tym, co mają kaszel, pożycza swojej mufki<sup>62</sup>, gdy któremu ręce zmarzną – i umęczona jest przez tych najmniejszych, którzy jej się uwieszają u sukni i chcą, żeby całowała, ciągnąc ją za welon, za mantylkę<sup>63</sup>. I pozwala im na to wszystko, i całuje, i śmieje się, i biegnie do domu roztargana, z gołą szyją, spocona i uśmiechnięta, z tymi ślicznymi dołeczkami w twarzy i z swoim czerwonym piórem. Uczy także rysunków w oddziale dziewcząt, a pracą swoją utrzymuje matkę i brata.

---

<sup>62</sup> *mufka* – futrzany rulon do ogrzewania rąk. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *mantylka* (daw.) – rodzaj krótkiej peleryny damskiej. [przypis edytorski]

## W domu zranionego

18. niedziela

A przy nauczycielce z czerwonym piórem mały siostrzeniec starego urzędnika, co mu to Garoffi zranił oko swoją kulą śniegu.

Widziałem go dzisiaj w domu wuja, który go tak kocha jak rodzone dziecko.

Właśnie skończyłem miesięczne opowiadanie na przyszły tydzień: „Mały pisarczyk z Florencji”, które mi nauczyciel dał do przepisania, kiedy mi ojciec rzekł:

– Pójdźmyż na górę, na czwarte piętro, zobaczyć, co się dzieje z okiem tego pana.

Poszliśmy. W pokoju prawie że zupełnie ciemnym leżał stary pan, a raczej siedział w łóżku, obłożony poduszkami wysoko pod plecy. W głowach siedziała jego żona, a w kącie bawił się ten mały siostrzeniec.

Stary pan miał zawiązane oko.

Bardzo był rad mojemu ojcu, prosił go, żeby usiadł, i mówił, że mu jest lepiej, że oka nie tylko nie straci, ale za kilka dni zupełnie wydobrzeje na nie.

– Wypadek był – dodał łagodnym głosem – i bardzo mi żal, że się ten biedny chłopiec tak przeraził.

Potem zaczął mówić o doktorze, który miał zaraz przyjść i opatrzeć oko. Jeszcze nie skończył, kiedy dzwonek zadzwonił u drzwi.

– Doktor przyszedł – powiedziała pani.

Wtem otwierają się drzwi i... kogóż widzę? Garoffiego w swym długim płaszczu, jak stoi w progu ze spuszczoną głową i wejść nie śmie.

– Kto to? – pyta się chory.

– To ten uczeń, który rzucił kulę – rzecze mój ojciec.

A stary pan na to:

– O, biedny chłopcze, a pójddże tu bliżej! Przyszedłeś dowiedzieć się o zdrowiu zranionego, nieprawdaż? Lepiej mi, bądź spokojny, lepiej! Prawie zupełnie dobrze. Przybliź się, dziecko!

Ale Garoffi tak był zmieszany, że ledwo do łóżka trafił. Zbliżył się wreszcie powstrzymując łkanie, a kiedy stary pan głaskał go i pieścił, nie mógł przemówić słowa.

– Dziękuję ci! – rzekł starzec. – Idź, powiedz ojcu i matce, że wszystko już dobrze i niech się nie martwią.

Ale Garoffi nie ruszał się z miejsca, a ja zaraz zmiarkowałem<sup>64</sup>, że coś powiedzieć chce, a tylko nie śmie. I stary pan też zmiarkował.

– Cóż mi powiesz? Czego chcesz?

– Ja... niczego.

– No, to bądź zdrow, chłopcze! Do zobaczenia! Idź w spokoju.

Garoffi oddalił się ku drzwiom, ale rychło stanął i obrócił się do małego siostrzeńca, który poszedł za nim i patrzył na niego ciekawie.

Nagle wyciągnął coś spod płaszcza i dał chłopcu do ręki mówiąc prędko: – To dla ciebie... – i wyleciał jak oparzony za drzwi.

Chłopczyna przyszedł do łóżka niosąc pakiet, na którym było napisane: „Daruję ci to”. Spojrzałem do wnętrza i aż krzyknąłem ze zdumienia. Był to sławny album ze zbiorem marek pocztowych biednego Garoffiego, ów album, o którym tyle zawsze gadał, w którym pokładał wszystkie swoje nadzieje i który go tyle trudów kosztował. Skarb to był, połowa życia jego, a przecież oddał go, biedaczysko, na okup swej winy!

---

<sup>64</sup> zmiarkować (daw.) – zorientować się, zauważyć. [przypis edytorski]

## Mały pisarczyk z Florencji

### Opowiadanie miesięczne

Przechodził kurs czwartej klasy w szkole elementarnej. Śliczny to był Florentczyk, z czarnymi włosami a białą twarzą, najstarszy syn pewnego urzędnika kolei żelaznych, który mając liczną rodzinę a małą pensję żył w niedostatku.

Ojciec kochał go bardzo. Pobłażliwy był dla niego i dobry. Pobłażliwy we wszystkim, tylko nie w tym, co dotyczyło szkoły. Na tym punkcie był surowym i wymagającym, bo chłopiec musiał nauki kończyć jak najprędzej i jak naprędzej objąć jakiś urząd, żeby pomagać rodzinie. A wiadomo, że kto chce prędko coś znaczyć, musi tego pracować i nie tracić czasu. Więc choć się chłopiec uczył dobrze, ojciec jeszcze go i tak do nauki zapędzał. Bo sam już nie bardzo był młody, a w ciężkiej pracy czuł się postarzałym przedwcześnie.

Niemniej jednak, choć nią tak obarczony w swym urzędzie, brał jeszcze to stąd, to zowąd jakąś poboczną pracę, żeby tylko nastarczyć potrzebom domowym. Najczęściej było to przepisywanie, na którym mu część nocy schodziła codziennie, a nieraz i świt zastawał go przy nim.

W ostatnich czasach podjął się u jednego wydawcy dzienników i książek zapisywania na opaskach nazwisk i adresów abonentów; a za każde pięćset takich opasek, zaadresowanych dużymi literami i czytelnie, dostawał trzy liry. Ale robota owa bardzo go męczyła i często się na nią skarżył przed swoją rodziną.

– Tracę oczy – mawiał – dobija mnie ta praca po nocach.

Aż jednego razu powiada do niego ów najstarszy synek:

– Tato, daj mi to robić za siebie! Wiesz przecie, jak ja ładnie piszę i zupełnie podobnie do ciebie.

Ale ojciec odpowiedział:

– Nie, synu! Przede wszystkim nauka. Twoja szkoła daleko ważniejsza niżli te opaski; wyrzuciłbym sobie, gdybym ukrócił choć godzinę. Dziękuję ci, ale nie chcę i nie ma o czym gadać.

A syn wiedział, że w tych rzeczach nie ma co się z ojcem upierać, i nie upierał się.

Ale oto jak sobie poradził.

Wiedział dobrze, że ojciec jego kończy pisanie o północy i idzie do sypialni ze swojej izdebki. Tego był pewny. Kiedy na wielkim zegarze wybiła dwunasta, słyszał zawsze odsuwanie krzesła od stołu i powolne kroki ojca.

Więc jednej nocy przeczekawszy, aż się ojciec do łóżka położy, wstał cicho, ubrał się i po omacku poszedłszy do izdebki owej zapalił lampę, usiadł przy biurku, na którym bielił się stos opasek wraz z listą adresową, i niewiele myśląc zaczął pisać, naśladować zupełnie pismo swego ojca.

I miło mu było pisać, i rad był, choć się i bał trochę, a opaski zapisane piętrzyły się przed nim. Od czasu do czasu kładł pióro, zacierał ręce, znów zaczynał pisać z zapalem, nastawiając ucha i uśmiechając się z lekka.

Zapisał sto sześćdziesiąt. Zarobił lira!

Przestał, położył pióro, skąd je wziął, zagasił światło i na palcach do łóżka powrócił.

Tego dnia w południe siadł ojciec do stołu w wybornym humorze. Nic a nic nie pomiarkował<sup>65</sup>. Bo tę robotę wykonywał mechanicznie, na godziny ją mierząc, i często przy niej myśląc o czym innym, a dopiero nazajutrz liczył zapisane opaski.

Siedząc tak wesół przy stole, poklepał syna po ramieniu i rzekł:

<sup>65</sup> pomiarkować (daw.) – zrozumieć. [przypis edytorski]

– Ech, Julku! Jeszcze z twego ojca lepszy pracownik, niżes myślał! W dwie godziny machnąłem wczoraj wieczór o trzecią część więcej roboty niż zwykle! Jeszcze moja ręka sprawna, a i oczy pełnią swoją służbę.

A Julek milczał, szczęśliwy, i tylko w duchu tak mówił: „Biedny tato! Nie tylko mu ułatwiam robotę, ale przyczyniam mu radości, że się młodszym i silniejszym czuje. Dobra nasza! Nie traćmy odwagi!”

Tak zachęcony powodzeniem czekał nocy, a gdy dwunasta wybiła, znowu wstał cicho i dalej do roboty. I tak przez wiele nocy wciąż, jedna po drugiej. A ojciec ciągle jeszcze nic nie miarkował. Raz tylko wychodząc po kolacji rzekł:

– Nie do uwierzenia, co nafty w domu wychodzi od jakiegoś czasu!

Julek drgnął, ale rozmowa na tym się skończyła, a nocna robota szła dalej.

Jednakże, przerywając tak sen każdej nocy, chłopiec nie wypoczywał dostatecznie, toteż rankiem wstawał zmęczony, a wieczorem, przy odrabianiu lekcji, ledwo że otwierał oczy. Aż jednego dnia, pierwszy raz w życiu, usnął nad kajetem.

– Chłopak! Co ty!... – krzyknął jego ojciec. – Do roboty! Dalej, śpiochu!

Wstrząsnął się i do lekcji zabrał.

Ale następnego wieczora i później było znów to samo. A nawet było gorzej jeszcze. Drzemał nad książkami, wstawał późno, lekcje odbywał, aby zbyć, zdawał się zniechęcony do nauk.

Ojciec zaczął na niego uważać, potem zamyślać się, wreszcie wyrzucać mu lenistwo.

– Julku! – rzekł pewnego rana. – Co się z tobą stało? Już ty nie ten, co dawniej. Bardzo mi się to nie podoba. Bardzo mnie to martwi! Zważ, że cała nadzieja rodziny na tobie spoczywa. Jestem z ciebie nierad<sup>66</sup>! Rozumiesz?

Ten wyrzut, pierwszy raz tak ostrym wypowiedziany głosem, zmartwił nieboraka ogromnie.

„Prawda – pomyślał. – Nie może tak być dalej. Trzeba zakończyć tę pomoc i to złudzenie”...

Ale tegoż wieczora, jakby naumyślnie, ojciec wychodząc z domu rzekł bardzo wesoło:

– Wiecie? W tym miesiącu zarobiłem tymi adresami o trzydzieści dwa liry więcej niżeli w zeszłym! – Co rzekłszy dobył z szuflady paczkę cukierków, które kupił, żeby dzieciom sprawić uciechę z powodu tak powiększonego zarobku.

Julek znów nabrał otuchy i rzekł sobie:

„Nie, drogi ojcze! Będę cię jeszcze łudził, jeszcze ci pomagał! Dobędę ostatnich sił, żeby lekcjami przez dzień nastarczyć, a nocami będę jeszcze pracował dla ciebie, dla mamy, dla braci”...

A ojciec tak mówił dalej:

– Trzydzieści dwa liry więcej to nie bagatela! Cieszymy się, dzieci! Jedno z was tylko – tu wskazał ręką Julka – martwi mnie i smuci.

A Julek wysłuchał wyrzutu tego w milczeniu, połykając łzy, które mu się do oczu cisnęły, a jednocześnie uczuł w sercu wielką, wielką słodycz.

I zapamiętałe pracować zaczął. Ale nowe znużenie do dawnego znużenia dodane coraz było trudniejszym do przewyciężenia.

Tak trwały rzeczy coś przez dwa miesiące. Ojciec strofował Julka prawie co dzień i patrzył na niego coraz niechętniejszym wzrokiem. Aż dnia pewnego poszedł do nauczyciela, żeby z nim pomówić o tym, a nauczyciel rzekł:

– Owszem, lekcje odrabia, bo to inteligentne dziecko; ale tego dawnego zapału do nauki nie ma. Drzemie w klasie, nie uważa, jest roztargniony. Ćwiczenia pisze coraz krótsze, aby zbyć, i bazgrze je po prostu. O, jestem pewny, że mógłby przy dobrej woli zupełnie inaczej się uczyć!

Tego wieczora wziął ojciec chłopca na stronę i tak do niego mówił, z niebywałą u niego powagą:

– Julku! Wszak widzisz, jak ja pracuję, jak sobie życie skracam dla rodziny. Ty jednak nie chcesz mi ułatwić tego. Nie masz serca ani dla mnie, ani dla matki, ani dla braci!

---

<sup>66</sup> *nierad* (daw.) – niezadowolony. [przypis edytorski]

– Ach nie! Nie mów tak, tato! – zawołał Julek wybuchając płaczem i już otwierał usta, żeby wyznać wszystko, ale ojciec przerwał mu i rzekł:

– Wiesz, w jak ciężkich warunkach żyjemy. Wiesz, że aby wyżyć, trzeba dobrej woli i poświęcenia wszystkich w rodzinie. Wiesz, że ja sam musiałem podwoić pracę. Tego miesiąca liczyłem na sto lirów gratyfikacji z kolei, a dowiedziałem się, że nie dają żadnej.

Usłyszawszy to Julek cofnął wyznanie, które już mu się na usta cisnęło z duszy, i w mgnieniu oka odzyskując siłę woli rzekł sam sobie:

„Nie, tato! Nic ci nie powiem! Będę jeszcze pracował tajemnie dla ciebie. Za to strapienie, jakie ci sprawiam, wynagrodzę ci pomocą w twych trudach. W szkole i tak promocję dostanę. Pierwsza rzecz i najpilniejsza, pomagać ci w utrzymaniu nas wszystkich i ulżyć ci w tej pracy, która cię zabija!”

Od tej rozmowy przeszło znowu dwa miesiące. Dwa miesiące nocnej pracy i dziennego wyczerpania, rozpaczliwych wysiłków dziecka i gorzkich wymówek ojca. Gorsze jednak od wymówek było to, że ojciec stawał się dla syna coraz ozięblejszy, że rzadko tylko odzywał się do niego, jakby to było dziecko stracone dla jego serca, po którym nic dobrego spodziewać się nie można, tak że unikał nawet spojrzenia na niego.

Widział to Julek i cierpiał; a kiedy ojciec odwrócił się od niego, przysyłał mu ręką pocałunek nieśmiały, podnosząc ku niemu wzrok smutny i pełen miłości. Chudł przy tym i coraz był bledszy z powodu tej pracy i tego cierpienia, a w miarę ubytku sił coraz bardziej zaniedbywać się musiał w nauce. Zrozumiał wreszcie nieszczęsny chłopczyzna, że trzeba mu się zrzec tej pracy tajemnej i co wieczór mówił sobie:

„Tej nocy już będę spał. Nie wstanę”.

Zaledwie jednak wybiła dwunasta, zamiast powziąć odważnie to postanowienie, uczuwał wyrzuty. Zdawało mu się, że leżąc tak w łóżku uchybia jakiemuś ważnemu obowiązkowi, że wprost wydziera tego lira ojcu i rodzinie.

I wstawał cicho, i myślał, że przecież którejkolwiek nocy ojciec obudzi się i na pisaniu go zastanie; że spostrzeże się przecie kiedyś przeliczywszy z wieczora napisane przez siebie opaski, a tak wyda się i skończy naturalnie wszystko, samo przez się, bez jego przyczynienia, bez tego aktu woli, do którego nie miał dosyć siły. I tak ciągnęło się dalej.

Aż pewnego dnia ojciec wyrzekł jakby naumyślnie słowa, które zdecydowały chłopca ostatecznie. Było to tak: Matka popatrzyła na Julka, a że jej się zdawał jeszcze bledszy, jeszcze mizerniejszy niż zwykle, rzekła:

– Julku, tyś chory, dziecko!... – I zwróciwszy się do ojca dodała: – Julek musi być chory. Zobacz tylko, jaki błąd! Julku mój drogi, co tobie?

Ale ojciec rzucił tylko raz okiem na niego i rzekł:

– Kto ma złe sumienie, ten nie może być zdrow. Nie było tak dawnymi czasy, kiedy był pilnym uczniem i kochającym synem.

– Ależ on chory! – zawołała matka.

– Nic mnie to już nie obchodzi – odpowiedział ojciec.

A biednemu chłopczyźnie, gdy usłyszał te słowa, zdawało się, że mu utkwiał nóż w sercu. Ach, nie znieś tego już dłużej! Nie może! Ojciec jego... ten ojciec, który drżał dawniej, kiedy chłopak zakaszał tylko... Nie kocha go już więc... Nie ma się co łudzić. Umarł więc w sercu swego ojca... „Ach nie, ojcze! – rzekł sobie chłopiec ze ściśniętym jakąś śmiertelną bojaźnią sercem – teraz już naprawdę wszystko skończone, bo żyć nie mogę bez twojej miłości. Zdobędę się na siłę, powiem ci wszystko, nie będę cię dłużej oszukiwał, będę się uczył jak pierwej! Niech się dzieje, co chce, byłeś mnie kochał po dawnemu, drogi mój, najdroższy ojcze! Och, teraz już jestem zdecydowany na wszystko!”

Ale jeszcze tejże nocy, z nawyknięcia po prostu, wstał; a gdy wstał, poszedł raz jeszcze popatrzeć wśród ciszy nocnej na tę małą izdebkę, gdzie tak długo skrycie czuwał i pracował, z sercem pełnym radości najtkliwszej. A gdy przystąpił do stolika i zapalił światło, i zobaczył te czyste opaski

białe, na których już nigdy nie miał pisać nazwisk ludzi i miast, tych nazwisk, które już na pamięć umiał, zrobiło mu się okropnie smutno i chwycił nagle za pióro, żeby zwykłą swą pracę rozpocząć. Ale w ruchu tym potracił książkę, a książka spadła na ziemię. Krew uderzyła mu do głowy. Ojciec mógł się obudzić!... Nie zaszedłby go, prawda, na żadnym złym uczynku, owszem, on sam postanowił powiedzieć mu wszystko. A przecież usłyszeć kroki jego w ciemności... być tak przydybanym w tej ciszy, o tej godzinie... Zbudzić i przestraszyć matkę... i może jeszcze widzieć po raz pierwszy upokorzenie ojca wobec siebie, gdy wszystko się wyda... Na tę myśl skamieniał po prostu. Ale nie posłyszał nic. Nasłuchiwał przez chwilę u drzwi, które miał za sobą – nic!

Cały dom był głęboko uśpiony.

Zaczął więc pisać z pośpiechem, a opaski piętrzyły się przed nim. Tak pisząc słyszał miarowy krok straży miejskiej w pobliskiej pustej uliczce, potem turkot powozu, który nagle ustał; w chwilę później ciężki turkot wozów posuwających się jeden za drugim, a potem jeszcze głęboką ciszę, przerywaną od czasu do czasu dalekim szczekaniem psa. I pisał, pisał...

A tymczasem ojciec jego stał za nim. Zbudzony stukiem upadającej książki przeczekał on czas jakiś, wszedł do izdebki w chwili, kiedy turkot wozów tłumił jego kroki, i stał tam, z swoją siwą głową ponad ciemną główką syna i widział, jak pióro jego biega po opaskach, i w jednej chwili odgadł wszystko, wszystko przypomniał, zrozumiał, a niezmierna żałość i tkliwość zalała mu duszę przykuwając go, bez tchu, za plecami syna. Aż naraz Julek krzyknął przeraźliwie. Dwoje ramion objęło mu głowę w gwałtownym uścisku.

– O tato, tato, przebacz mi! – zawołał chłopiec poznając ojca po płaczu.

– To ty mi przebacz! – odrzekł ojciec łkając i pokrywając pocałunkami jego czoło. – Zrozumiałem wszystko, wiem wszystko, i to ja, ja żądam przebaczenia twego, święte moje dziecko! Pójdź, pójdź w moje ramiona.

I dźwignął go, i w ramionach zaniósł do łóżka zbudzonej matki, rzucił go w jej objęcia i rzekł:

– Ucałuj to anielskie dziecko, które od wielu miesięcy nie sypia i pracuje po nocach za mnie, a jam zasmucał jego serce, jego, co na chleb zarabiał dla nas...

Matka przycisnęła go do piersi nie mogąc słowa przemówić z wielkiego wzruszenia, po czym rzekła:

– Spać, droga dziecińco, spać!... Zanieś go do łóżeczka jego...

Ojciec wziął go w ramiona, zaniósł do izdebki jego, położył go w łóżko, całując go i pieszcząc, poprawił mu poduszkę i otulił kołdrą.

– Dziękuję, tato, dziękuję! – powtarzał Julek. – Idź już sam spać! Idź, tato! Dobranoc!

Ale ojciec pragnął go widzieć uśpionym; usiadł więc przy jego pościeli, wziął rękę jego i rzekł:

– Śpij, synu, śpij!

I Julek, zmęczony, usnął wreszcie i spał długo, pierwszym od tyłu miesiący snem cichym, spokojnym... A sny miał miłe, radosne, śmiejące. Kiedy oczy otworzył, a słońce dość już wysoko było na niebie, najpierw uczuł, a potem zobaczył, tuż przy piersiach swoich, na brzegu łóżeczka siwą głowę ojca, który tak noc całą spędził i spał jeszcze, czołem o serce syna oparty.

## Siła woli

28. środa

Jeden Stardi z naszej klasy miałby siłę to zrobić, co zrobił mały Florentczyk!

Dziś rano były dwa zdarzenia w szkole. Po pierwsze, szalona radość Garoffiego, któremu odesłano jego drogi album, i to z dodatkiem dwóch rzadkich marek<sup>67</sup> rzeczypospolitej Guatemala, których właśnie poszukiwał już od trzech miesięcy; a po wtóre, zdumienie nas wszystkich, bo Stardi dostał drugi medal i został pierwszym po Derossim uczniem w całej klasie. Okropnie byliśmy tym zdziwieni! Kto by to pomyślał w październiku, kiedy ojciec przyprowadził go do szkoły odzianego w ten zielony kubrak i rzekł do nauczyciela:

– Będzie pan z nim musiał zużyć wiele cierpliwości, bo jest tępy, pojmuje wszystko z wielkim trudem...

Wszyscyśmy wołali na niego: „barania głowa”. A on: – Albo umrę, albo zwyciężę! – i zaraz się wziął do nauki na śmierć i na życie.

Uczył się w dzień, uczył się w nocy, uczył się w domu, uczył się w szkole, uczył się nawet na spacerze, ściskając zęby i pięści, jak wół cierpliwy, jak muł uparty, i szedł tak dzień po dniu nie dbając na przewiska, obdzielając kuksami tych, co mu przeszkadzali, a przeszedł wszystkich i wszystkich wyprzedził, oprócz Derossiego, ten uparty kozieł! Nie rozumiał ani źdźbła z arytmetyki, w jego ćwiczeniach było tyle głupstw, że to boki zrywać, nie potrafił jednego okresu<sup>68</sup> powtórzyć z pamięci, a teraz rozwiązuje zadania, pisze poprawnie, a lekcje tak jak pozytywka trzepie! I znać w nim tę żelazną wolę, z całej tej postaci zsiadłej, z tej głowy kwadratowej i prawie bez szyi, z tych rąk krótkich i grubych, z tego głosu szorstkiego.

Uczy się zajadle, nawet ze strzępów gazet, nawet z afiszów teatralnych, a jak tylko uzbiera z dziesięć soldów, zaraz kupuje książkę. Już sobie zebrał ładną biblioteczkę, a w jakiejś chwili dobrego humoru wymknęło mu się, że mnie kiedy zaprowadzi do siebie, żebym ją obejrzał.

Nie przemówi do nikogo zresztą, z nikim się nie bawi i kiedy chcesz – spojrzysz, zawsze siedzi w ławce podpartszy pięściami skronie, nieruchomo jak pień, i słucha nauczyciela.

Co on też musiał się napracować, ten biedny Stardi!

Nauczyciel był dziś w złym humorze i zniecierpliwiony, jednak dając mu medal powiedział:

– Brawo, Stardi! Kto jest wytrwały, zwycięża!

Stardi nie zdawał się wcale pysznić tym medalem; nie uśmiechnął się nawet i zaledwie z nim wrócił do ławki, zaraz pięściami głowę podparł i siedział jeszcze więcej nieruchomy niż przedtem.

Ale najśmieszniej to było przy wejściu, bo czekał na niego ojciec – który jest cyrulikiem<sup>69</sup> – tak samo krótki i gruby jak on, z taką samą kwadratową twarzą i z takimże głosem. Nie spodziewał się medalu tego i wierzyć nie chciał, musiał go dopiero nauczyciel zapewnić, a wtedy zaczął się śmiać z radości i trzasnął syna w kark krzycząc z całej siły:

– A toś się spisał, drogi mój głuptasie! A niechże cię! – I patrzył na niego osłupiały i uśmiechnięty.

Wszyscyśmy się zresztą uśmiechali, prócz Stardiego, który już pod nosem mamrotał, przepowiadając jutrzejszą lekcję ranną.

---

<sup>67</sup> marka (daw.) – znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> okres – tu: zdanie. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> cyrulik – fryzjer, wykonujący także proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

## Wdzięczność

31. sobota

... Twój kolega Stardi nie skarży się nigdy na swego nauczyciela, jestem tego pewny. „Nauczyciel był w złym humorze, był zniecierpliwiony” – wyraziłeś się świeżo z niechęcią. Ale pomyśl, chłopcze, ileż to razy ty sam okazujesz zniecierpliwienie. I to komu? Swojej matce, swemu ojcu, względem których zniecierpliwienie twoje już jest przekroczeniem. Twój nauczyciel ma nieraz aż nadto powodów do niecierpliwości. Zastanów się tylko, ile on to już lat męczy się z uczniami, którzy przecież nie wszyscy są grzeczni i przywiązani, owszem, większa część jest niewdzięcznych, nadużywających jego dobroci i trudów jego nie uznaje wcale; tak że z was wszystkich ma daleko więcej goryczy i umartwienia niżeli pociechy.

Zastanów się, że i święty na jego miejscu nieraz by się rozgniewał. A żebyś wiedział, ile to razy idzie nauczyciel na lekcję chory, dlatego tylko, że choroba jego nie jest obłożna i nie uwalnia go od godzin szkolnych. Cierpi, więc się niecierpliwi, a ból jego powiększa się jeszcze, gdy widzi, że nic sobie z niczego nie robicie albo że nadużywacie jego osłabienia.

Szanuj, synu, i kochaj nauczyciela swego. Kochaj go, bo twój ojciec kocha go i szanuje; bo życie jego poświęcone jest dobru setek dzieci, które kiedyś zapomną o nim; kochaj go, bo on rozwija i oświeca twój rozum, bo on kształci duszę twoją. Kochaj go, bo gdy zostaniesz człowiekiem, a nas już nie będzie na świecie, ani mnie, ani jego, obraz jego często ci przed oczyma stanie przy moim obrazie, a wtedy spostrzeżesz ten wyraz bólu i znużenia w jego szlachetnym obliczu, na które dziś nie zważasz, i przypomnisz je sobie tak żywo, że nawet po latach trzydziestu jeszcze cię zabolą. A wtedy uczujesz żal i wstyd, żeś go nie kochał, żeś się źle zachowywał względem niego.

Kochaj twego nauczyciela, bo on należy do wielkiej rodziny pięćdziesięciu tysięcy nauczycieli elementarnych, rozrzuconych po całych Włoszech, którzy są jak gdyby duchowymi ojcami tych milionów chłopców, rówieśników twoich, co są nadzieją twej ojczyzny. Należy do tych pracowników nie dość cenionych, źle wynagradzanych, którzy przygotowują krajowi naszemu godnych go obywateli. Nawet miłość twoja dla mnie cieszyć mnie przestanie, jeśli jej mieć nie będziesz dla tych wszystkich, którzy się trudzą dla twojego dobra, a między którymi nauczyciel twój pierwszy jest po rodzicach twoich.

Kochaj go więc tak, jak byś brata mego kochał; kochaj go zarówno, czy cię pochwalili, czy zgani; czy jest sprawiedliwy, czy ci się niesprawiedliwym wydaje; kochaj go, gdy jest pobłażliwy i wesół, a więcej jeszcze, gdy go smutnym widzisz. Kochaj go zawsze, mój synu! I zawsze ze czcią wymawiaj to słowo: „nauczyciel”. Ono bowiem, po słowie: „ojciec” – jest najszlachetniejszą i najmiłszą nazwą, jaką człowiek człowiekowi dać może.

*Twój ojciec.*

## Styczeń

### Zastępca

#### 4. środa

Miał słusność mój ojciec! Nauczyciel był w złym humorze, bo był niezdrów. Od trzech dni przychodził za niego do naszej klasy zastępca, ten mały, bez wąsów, co to jeszcze sam mógłby za uczniaka uchodzić.

Brzydka się rzecz u nas zdarzyła dziś z rana. Już pierwszego i drugiego dnia hałasowała klasa, że strach, bo zastępca jest bardzo łagodny; ciągle tylko mówi: „Cicho, cicho, cicho, proszę!”

Naturalnie, że to na nic!

Ale co dziś, to już było nie do wytrzymania! Taki hałas, taki wrzask, że jednego słowa z lekcji usłyszeć nie można było, a zastępca ciągle tylko wołał: „Cicho i cicho!” – aż ochrypl!

Dyrektor, jak to on, często chodzi po korytarzach, dwa razy zatrzymał się we drzwiach naszej klasy i patrzył. Wtedy robiło się cicho! Ale jak tylko zniknął z oczu, natychmiast robił się jarmark, że uszy puchły. Próżno Garrone i Derossi uciszali kolegów odwracając się, dając im znaki, żeby byli cicho, że to wstyd tak się zachowywać w szkole. Żaden nie dbał. Jeden tylko Stardi siedział spokojnie, jak zawsze, podparty obu łokciami i z głową na pięściach, myśląc zapewne o swoim sławnym księgozborze, a także Garoffi, ten od albumu marek i z nosem puszczyka, też siedział cicho, zajęty rozpisywaniem biletów po dwa grosze sztuka, bo właśnie puszczał na loterię swój kałamarz kieszonkowy.

Inni świsłali i wybuchali śmiechem, tłukli piórnikiemami o ławki i rzucali na siebie kulkami z pożątego papieru, mając za procę gumowe paski od spodni. Zastępca wyciągał to jednego, to drugiego z ławki, trząsał nimi i jednego do kąta postawił. Ale i to się na nic nie zdało. Tak już nie wiedząc, co robić, znów prosić zaczął:

– I czemu wy to robicie? Dlaczego? Czy chcecie koniecznie, żebym się gniewał na was?

I uderzywszy w stół ręką krzyczał zarazem wściekłym i płaczącym głosem:

– Ciszej! Ciszej! Ciszej!

Przykro było go słuchać.

Ale hałas wzmógł się jeszcze.

Franti rzucił w niego papierową strzałą, inni zaczęli miauczeć jak koty, tamci się za łby darli, zrobił się zamęt nie do opisania, kiedy wtem wszedł pedel<sup>70</sup> i rzekł:

– Panie nauczycielu, pan dyrektor do siebie prosi.

Zastępca podniósł się i wyszedł z pośpiechem, czyniąc gest rozpaczony. A wtedy zrobiło się w klasie prawdziwe piekło. Naraz Garrone skoczył ze srogą twarzą i ścisnąwszy pięście, wołając głosem zduszonym z gniewu:

– Dość tego! Bydlęta! Rozpuściliście się dlatego, że dobry. Żeby was po łbach walił, to byście się mu jak psy łasili! Kupa nikczemników, nie chłopcy! Pierwszego, który nie usłucha, będę czekał przy wyjściu i zęby mu połamię, choćby jego rodzony ojciec na to patrzył!

Zamilkli wszyscy.

Ach, jakże pięknie wyglądał Garrone z tymi oczyma rzucającymi iskry i płomienie. Jak młody lew rozżarty<sup>71</sup>. Spojrzałem na największych krzykaczy: wszyscy mieli głowy spuszczone. Kiedy zastępca wrócił z zaczerwienionymi oczyma, było cicho tak, że żaden nie zipnął.

---

<sup>70</sup> *pedel* (daw.) – woźny. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *rozżarty* – rozjuszony. [przypis edytorski]

Ośłupiał zrazu, ale widząc, że Garrone stoi jeszcze na ławce zaczerwieniony i drżący, zrozumiał i rzekł głosem tak wzruszonym, jak gdyby mówił do brata:  
– Dziękuję ci, Garrone!

## Księgozbiór Stardiego

Byłem dzisiaj u Stardiego, który mieszka naprzeciwko szkoły, i aż mnie zazdrość wzięła, kiedy jego księgozbiór zobaczyłem. Nie bardzo on bogaty, bo pieniędzy na książki dużo nie ma; ale proszę widzieć, w jakim on porządku utrzymuje swoje książki szkolne i te, które w podarunku od rodziców dostaje! A każdy grosz chowa i do księgarza niesie! W taki sposób zgromadził sobie małą bibliotekę, a gdy ojciec spostrzegł to jego upodobanie, kupił mu półki orzechowe i zieloną firankę i dał mu oprawić wszystkie książki w śliczne kolorowe okładki. A teraz pociąga sobie za sznurek, firanka się rozsuwa i widać trzy rzędy różnokolorowych książek, wszystkie w porządku, błyszczące, ze złożonymi tytułami na grzbietach: opowieści, podróże, poezje; ma nawet z ilustracjami.

A jak je ślicznie ustawiać potrafi. Białooprawne koło czerwonych, żółte koło czarnych, niebieskie koło białych, tak że oczu oderwać nie sposób! I znów wszystko zmienia, znów ustawia inaczej, a coraz to śliczniej. Zrobił też i katalog. Zupełnie jak prawdziwy bibliotekarz. I ciągle ma coś z tymi książkami do roboty; otrzepuje z kurzu, ogląda okładki, przewraca kartki. Warto widzieć, jak delikatnie otwiera je tymi swymi grubymi, krótkimi rękami, dmuchając między karty. Dość już dawno je ma, a wydają się zupełnie jak nowe. A ja com już przez ten czas książek nadarł!

Dla niego kupno każdej nowej książki jest świętem prawie. Tak ją gładzi, tak ustawia, tak znów wyjmuje, żeby patrzeć na nią; z każdą obchodzi się jak z najdroższym skarbem. Przez całą godzinę tylko tymi książkami mnie bawił. Aż mnie oczy zaboląły od czytania.

Poszliśmy potem do pokoju jego ojca, który jest tak samo krótki i gruby jak syn, i z taką samą jak on dużą głową. Ten uderzył go dwa czy trzy razy w kark i rzekł swoim grubym głosem:

– Cóż mówisz, eh, o tym łbie zakutym? To jest łeb, który do niejednego dojdzie, zaręczam ci! – odpowiedział sam sobie.

A Stardi tylko oczy przymknął pod tą rubaszną pieszczotą, właśnie jak wielki pies od polowania.

Ja nie wiem, ale jakoś nie śmiem bawić się z nim i żartować; zgoła mi się wierzyć nie chce, żeby on był tylko o rok ode mnie starszy. A kiedy mi przy wyjściu powiedział: – Żegnam pana, moje uszanowanie! – tak mi się z tą swoją poważną twarzą wydał już dojrzałym.

Więc kiedy wróciłem do domu, tak rzekłem ojcu:

– Nie rozumiem! Stardi nie ma zdolności, nie jest pięknie ułożony, wygląda prawie śmiesznie, a jednak imponuje mi.

A ojciec odpowiedział:

– Imponuje ci, bo to chłopiec z charakterem.

Więc ja powiedziałem znowu:

– Przez tę godzinę, com tam był u niego, nie wymówił nawet pięćdziesięciu wyrazów, nie pokazał mi ani jednej zabawki, nie roześmiał się ani razu, a przecież było mi z nim dobrze.

A ojciec mój rzekł:

– Bo go szanujesz.

## Synek kowala

Tak, ale przecież i Precossiego szanuję i więcej nawet niż szanuję, Precossiego, synka kowala, tego małego mizeraka, co ma takie smutne, miłe spojrzenie, wystraszoną minę, a taki jest bojaźliwy, że do wszystkich mówi: „przepraszam”, i choć jest chorowity, tak dobrze się uczy. Ojciec jego wraca do domu często prosto z szynku i bije go nie wiedzieć za co, a kajety jego i książki o ziemię ciska. A on przychodzi do szkoły z siniakami na twarzy, a nieraz zapuchnięty, z oczyma czerwonymi od płaczu. Ale za nic w świecie powiedzieć sobie nie da, że ojciec go bije.

– Znów cię ojciec wytlukł! – mówią mu koledzy.

A on krzyczy zaraz: – Nieprawda! Nieprawda! – żeby niby nikt nie śmiał honoru ojca naruszyć.

– Tego arkusza przecież nie spaliłeś sam? – mówi mu nauczyciel pokazując na pół spalony arkusz.

– Owszem, to ja! – rzecze na to drżącym głosem. – Upadł mi w ogień i...

A wszystkim wiadomo, że to jego ojciec kopnął po pijanemu stół, przy którym chłopiec pisał, zrzucając wszystko razem z zapaloną lampą. Bo oni mieszkają na poddaszu w naszym domu, na drugich schodach, a stróżka wszystko opowiada mojej matce. Siostra moja, Sylwia, słyszała, jak raz krzyczał z ganku, że go ojciec chce zrzucić ze schodów, bo go prosił o pieniądze na kupienie gramatyki. Bo ten ojciec jest taki, że tylko pije wódkę, nie pracuje, a rodzina jego głód cierpi. Ile to razy przychodzi Precossi bez śniadania i dopiero ukradkiem zjada bułkę, co mu ją Garrone da, albo jabłko, przyniesione przez tę małą nauczycielkę z czerwonym piórem, której był uczniem we wstępnej. Ale się jeszcze nie zdarzyło, żeby kiedy powiedział: „Jestem głodny, mój ojciec nie daje mi jeść”. Nigdy!

Kowal wstępuje czasem po niego, kiedy wypadkiem znajdzie się gdzie blisko szkoły, wybladły, chwiejący się na nogach, z ponurą twarzą, z włosami opadającymi na oczy i z czapką na bakier; biedny chłopiec drży cały, kiedy go tak na ulicy zobaczy, ale zaraz biegnie naprzeciw niego z uśmiechem, a ojciec nie widzi go nawet myśląc o czym innym.

Biedny Precossi! Zeszywa sobie, jak umie, poszarpane kajety, książek do nauki pożycza, szpilkami spina porozrywaną koszulinę i aż litość bierze patrzeć, jak się gimnastkuje w tych buciętach powykrzywianych, w tych spodenkach opadających i w tej kurtce zbyt długiej z rękawami, które aż do łokcia zawijać musi. A uczy się, a stara i z pewnością byłby pierwszym, gdyby mógł spokojnie pracować w domu.

Dziś rano przyszedł do szkoły z guzem na czole i z podrapaną twarzą, więc koledzy dalej do niego:

– Oho, urządził cię pięknie twój ojciec! Nie możesz zaprzeczyć, że ojciec!...

A on zaczerwienił się, zerwał z ławki i głosem drżącym z oburzenia krzyknął:

– Nieprawda! Nieprawda! Mój ojciec nigdy mnie nie bije!

Ale potem, w czasie lekcji, łzy mu kapwały na pulpit, a spojrzał kto na niego, to się uśmiechał, żeby nie pokazać nic po sobie. Biedny Precossi! Jutro mają przyjść do mnie Derossi, Coretti i Nelli; ale jemu też powiem, żeby przyszedł. Zatrzymam go na podwieczorek, podaruję mu parę książek, jeszcze mu i do domu co dam i w kieszeń mu owoców włożę, żeby choć raz miał uciechę, nieborak, kiedy taki dobry i mężny!

## Miłe odwiedziny

12. czwartek

Dzisiejszy czwartek był dla mnie jednym z najmiłszych dni w tym roku. Derossi i Coretti z Nellim garbuskiem przyszli punktualnie, tak jak obiecali, tylko Precossiemu ojciec nie pozwolił przyjść. Derossi i Coretti jeszcze się śmiali ze spotkania z Crossim, synem zieleniarki, tym z bezwładną ręką i rudą łepetyną, który niósł ogromną głowę kapusty na sprzedaż i miał, jak ją sprzeda, kupić sobie pióro i ołówek. Biegł żwawo, był wesół, bo właśnie ojciec jego pisał z Ameryki, żeby go wyglądali, bo lada dzień wróci.

Ach, jakeśmy się też wybornie bawili przez te dwie godziny! Derossi i Coretti to najweselsze zuchy z całej klasy. Ojciec mój strasznie ich polubił.

Coretti przyszedł w swojej brunatnej bluzie i w swojej czapeczce z kociej sierści.

Diabeł nie chłopak! Ciągłe by tylko coś ruszał, przestawiał, prznosił. A choć już z rana pół wozu drzewa przeniósł do sklepu, nie posiedzi chwili, ale po całym domu biega, wszystko ogląda i bez ustanku gada, lekki i zwinny jak wiewiórka. Zaraz do kuchni wpadł, zaraz się kucharki zapytywał, ile płaci cetnar<sup>72</sup> drzewa, bo ojciec jego sprzedaje po czterdzieści pięć centymów. A o tym ojcu to mu się gęba nie zamyka po prostu. Ciągłe rozpowiada, jak to on w 49 regimencie służył, jak się pod Custozzą<sup>73</sup> bił, jak walczył pod księciem Humbertem, no i sam bardzo grzeczny i dobrze ułożony chłopiec... „Nie szkodzi mu to nic, że się urodził i wychował pomiędzy wiązkami drzewa, bo we krwi i w sercu ma szlachectwo” – powiada mój ojciec.

Derossi także ojcu memu bardzo się podobał. Bo też zna geografie ten chłopak jak sam nauczyciel! Zamknął oczy i mówi:

– Widzę teraz całe Włochy... Widzę Apeniny, jak się ciągną aż do Morza Jońskiego, widzę rzeki, jak płyną tu, to tam; widzę miasta białe, przylądki, zatoki modre, zielone wyspy...

I tak wymieniał ich nazwy właściwe i po porządku, i szybko, jak gdyby je na mapie czytał, a my widząc go tak z podniesioną głową, z tymi jasnymi kędziorami, z zamkniętymi oczyma, w niebieskim ubranku ze złożonymi guzikami i tak ślicznego jak posąg, staliśmy przed nim w podziwie. W godzinę nauczył się na pamięć blisko trzy strony, które ma wypowiedzieć pojutrze, na obchodzie rocznicy pogrzebu króla Wiktora Emanuela<sup>74</sup>.

I Nelli patrzył w niego jak w słońce, zachwycony i rozradowany, gładząc fałdy swego brzydkiego czarnego fartucha i uśmiechając się tymi jasnymi i melancholicznymi oczyma.

Wielką przyjemność sprawiły mi te odwiedziny. Zostały mi po nich jak gdyby złote iskierki w sercu i w umyśle. A i to mi się podobało bardzo, że odchodząc dwaj rośli i silni wzięli pomiędzy siebie garbuska i prowadzili go pod ręce, a on się śmiał tak, jakem go jeszcze nigdy śmiejącym nie widział.

Wróciwszy do jadalni spostrzegłem, że nie ma na ścianie obrazka, który przedstawiał garbatego błazna, Rigoletta. A to ojciec zdjął, żeby go nie widział Nelli.

---

<sup>72</sup> *cetnar* – dawna jednostka wagi, zależnie od regionu 50 lub 100 kg. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *Custozza* – miejscowość w północnych Włoszech, miejsce przegranej przez Włochów bitwy z Austriakami w 1866 r. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *Wiktor Emanuel II* (1820–1878) – pierwszy król zjednoczonych Włoch. [przypis edytorski]

## Pogrzeb Wiktora Emanuela

17. stycznia

Dzisiaj o drugiej, zaledwie nauczyciel wszedł do klasy, zawołał Derossiego, który podszedł do stolika, stanął wprost nas i dźwięcznym głosem, podnosząc go i zniżając na przemian, z wzruszeniem na twarzy tak mówił:

– Cztery lata minęło, jak w tym dniu i o tej godzinie zatoczył się przed Panteon<sup>75</sup> w Rzymie wóz żałobny, na którym spoczywały zwłoki Wiktora Emanuela II, pierwszego króla Włoch, zmarłego po dwudziestu dziewięciu latach panowania, w czasie których wielka nasza ojczyzna, rozerwana na sześć oddzielnych państw i uciskana przez obcych tyranów, stała się jednym, niepodległym, wolnym królestwem. Po dwudziestu dziewięciu latach panowania, które okrył sławą a udarował męstwem, prawością, odwagą w niebezpieczeństwach, mądrością w chwilach zwycięstw i wytrwaniem w klęskach.

---

<sup>75</sup> *Panteon* – budynek z czasów starożytnego Rzymu, pierwotnie świątynia poświęcona wszystkim bogom, obecnie kościół katolicki; miejsce pochówku królów włoskich. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.